













El. Orzeszkowa.

O powieściach Jeża.







# O POWIEŚCIACH T. T. JEŻA

## Z RZUTEM OKA NA POWIEŚĆ W OGÓLE.

STUDYUM.

Jedynym sposobem umożliwiającym gruntowność i wszechstronność sądów naszych o zjawiskach wszelkich, jest ujmowanie zjawisk tych u samych podstaw, czyli, zapoznawanie się uprzednie z czynnikami, które mieszczą w sobie najbliższą przyczynę bytu zjawiska, i rządzą warunkami jego rozwoju.

Podstawą działalności pisarza każdego jest ta gałąź piśmiennictwa, której oddaje się on najwięcej. W niej, w samej istocie jej i w prawach, jakimi jest ona rządzoną, mieszczą się czynniki owarunkowujące granice działalności tej, wartość jej, cechy i wpływy. Dla tego to, pragnąc wydać sąd gruntowny i wszechstronny o jednostce pisarskiej, należy przedtem uzbroić się znajomością tej gałęzi piśmiennictwa, której się on oddaje. Dla tego też, mając pisać o jednym z najznakomitszych powieściopisarzy naszych, pozwolę sobie zatrzymać się chwil kilka nad określeniem samej istoty powieści, praw, które rządzą powstawaniem jej i rozwojem, a także umysłowych tych zarówno jak i moralnych narzędzi, które posługiwać muszą pracownikom jej, a których miara i siła stanowią o wartości i sile pracy każdego z nich.

Dokonanie określenia takiego wydaje się tu tem konieczniejszym, że pomiędzy wszelkimi działaniami umysłowej pracy i twórczości ludzkiej, powieść doświadcza w teoryach tak estetycznych jak moralnych, losu najdziwniejszego, zajmuje stano-

wisko najmniej wyraźne. Przyjmowana do przybytku Muz przez jednych a wyrzucana zeń przez innych, tu umieszczana w dziedzinie poezji, lubo zawsze na ostatnim jej szczeblu stawiona, tam znowu przybliżana bardziej ku naukom społecznym, lecz oskarżana o przynoszenie im ujemy raczej niż pożytku, — powieść przedstawia dotąd nierozwikłaną zagadkę, polegającą na sprzeczności praktyki z teorią. W praktyce, nad wszystkie inne działy piśmiennictwa umiłowana przez masy cywilizowanych ludów, najmożliwsze, a przynajmniej najszybsze i najwidoczniejsze wywierająca wpływy, w teorii, u estetyków zarówno jak u moralistów, spotyka się ona z lekceważeniem bliskim wzgardy, z nieufnością podobną do wstrętu. Z pomiędzy pracowników umysłowości ludzkiej najpowszechniej przez ogół znany, najgoręcej może miłowany, najsilniej wstrząsający największą liczbą serc i umysłów — powieściopisarz, wobec sądu krytyki tak estetycznej jak naukowej, zajmuje w hierarchii umysłowych stanowisk stopień najniższy. Wobec sądu tego, wysoko po nad nim stoją nietylko już mężowie ścisłej nauki, ale pracownicy pędzla i dłuta, pracownicy pióra w działach innych: poeta, dramaturg, popularny moralista, aż do dziennikarza nieledwie piszącego o sprawach bieżących ulotne kartki.

Dość jest przecież krótkiej chwili uważnego wpatrzenia się w sprzeczność tę, ażeby dojrzeć główne jej dwie przyczyny. Pierwszą z nich jest niedostateczne rozróżnianie samej istoty gałęzi tej piśmiennictwa od pewnej kategorii jej objawów; drugą — błędna a bardziej jeszcze niedostateczna wiedza o warunkach, narzędziach i siłach, które posiadać muszą pracownicy jej, w prawdziwem nazwy tej rozumieniu.

Złe rozróżnianie istoty rzeczy z jej objawami, wypowiada się w wyrzekaniach częstych, a gorzkich na istniejącą olbrzymią ilość powieści pisanych niedołącznie lub niesumiennie, z widokami zysku, lub łatwej sławy, ze smutnym, groźnym, nawet wynikiem chorobliwego wyprężania wyobraźni, drażnienia zmysłów, oczadzania rozumów ludzkich. Wyrzekania te same przez się słusznemi są; wykrzywiają one tylko prawdę estetyczną i moralną wtedy, gdy, jak się to zdarza zawsze prawie, służą za powód potępienia całkowitego, albo przynajmniej niezmiernego umniejszenia w godności i dodatniem znaczeniu, zamiast ludzi winnych sponiewierania idei — samą ideę. Któż kiedy próbował wytrącić z dziedziny sztuki malarstwa i odmówić jej wspaniałej mocy uszlachetniania serc, wyobraźni i obyczajów



ludzkich, przez to, że istnieją uprawiacze jej z niepoświęconym umysłem i sumieniem, przedstawiający na płótnach swych zielone nieba i błękitne łąki, lub rzucający w tłumy roje płócien czy kartek, z widokami, które bezwstydem poją oczów miliony? Któż kiedy pomyślał o strąceniu nauki z królewskiego jej tronu, dla tego, iż w państwie jej przebywa ilość pewna oszustów i szarlatanów, że niejeden z uprawiaczy jej uważa ją za rolę przeznaczoną do krzewienia osobistych swych mniemań i święte oblicze prawdy okrywa zgłoskami fałszu, ku tryumfowi pychy swej, lub stronnicych swych namiętności? Los taki nie spotkał ani nauki, ani żadnej ze sztuk pięknych. A jednak, fakt naukowy ukryty, fałszywie wytłomaczony, lub w nieprawdziwych przedstawionych połączeniach, dzieło pędzła każące smak dobry ogółu, albo wlewające w myśl jego i obyczaje żywioł cynizmu, — czyliż mniej ujemne i niebezpieczne wywierają wpływy jak utwór pisarskiej sztuki, którego powstaniu nie przewodniczyły talent i sumienie? Bynajmniej; tylko że wpływy piśmiennictwa, dzieła jego szczególnie najpoczytniejszego, więc powieściopisarstwa, bardziej natychmiastowe są, widzialne, i co najważniejsza, bardziej zrozumiałe. Głębszego zastanowienia i znawstwa potrzeba, aby przeniknąć i zmierzyć szkodliwość złego obrazu dla smaku ogółu, albo zgubność dla rozumu i sumienia mas naukowego oszustwa; lecz wpływ złej powieści wpada w oko i jasnym jest zupełnie nietylko estetykom i moralistom, ale nawet roztropnym prostakom.

Nic nie może być bardziej sprzecznem ze sprawiedliwością, jak podobne mieszanie ze sobą samej natury rzeczy z objawami jej znajdowanymi w dziełach ludzkich. Wobec ułomności ludzkiej nie ostoi się ideał żaden w całej zwierzchniej czystości swej; nie idzie zatem, aby pod zbrudzoną zewnętrżnością nie można było i nie należało odkrywać wiecznie czystej głębi. Wschodnie ludy mają o tem piękną legendę.

W Mecce, w świętem mieście Arabii, w świątyni oddanej czci i pamięci proroka, istnieje kamień wielki, który spadł z nieba na ziemię, za czasów jeszcze pierwszego rodzica ludzkości, Adama. Kamień ten, spadając z nieba, białym był jako śnieg; ale potem przychodziły przez wieki tłumy ludzi i przykładaly doń swe usta. Od dotknięć tych powierzchnia głazu stała się czarną; a jednak, i dziś jeszcze, skoro tylko sprawiedliwy składa na nim pocałunek swój, w miejscu, którego dotkną usta jego, znika czarność, a zastępuje ją pierwotna śnieżna biel. Dla tego



też arabi mniemają, że głaz święty, pod czarną osłoną swą jest zawsze białym jak dawniej, i że pocałunki, od których poczerniała powierzchnia jego, były pocałunkami grzeszników.

Jakim sposobem niedostateczne zbadanie sił i narzędzi, któremi rozporządzać się, które zdobyć sobie muszą twórcy powieści w dobrem nazwy tej znaczeniu, poddaje dział piśmiennictwa tego lekceważeniu i nieufności umysłów poważnych? —zrozumieć łatwo. Dość na to będzie powtórzyć tu często powtarzane zdanie, iż powieściopisarz pisze—niektórzy nawet utrzymują, że pisać powinien,—tak jak ptak śpiewa, więc bez przygotowań się uprzednich żadnych i bez żadnego mozołu, z samego tylko natchnienia i dla samej tylko własnej satysfakcyi. Wobec dzieł nauki i sztuki będących owocem olbrzymich, a ogólnie uznawanych badań, walk i prac, jakież stanowisko zająć może śpiew ptaka, dla którego, aby rozległ się po przestrzeni, nie trzeba nic prócz odpowiednio ukształtowanego gardziółka i pary oczu widzących to o czem wyśpiewuje gardziółko? Naturalnie, stanowisko to musi być wielce podrzędnem.

Czemże więc jest powieść? W którym z działów umysłowości ludzkiej znajduje się właściwe i przynależące się jej miejsce? Jestże ona poematem bez rytmu i rymu, dramatem opowiedzianym, albo dyalogowaną rozprawą o zagadnieniach psychicznych, społecznych, filozoficznych? W pierwszym i drugim wypadku należałaby ona bezwarunkowo do dziedziny czystego artyzmu, do tego mianowicie działu dziedziny tej, w którym króluje poezya; w drugim — miejsce jej znajdowałoby się w dziale nauki mającym za zadanie popularyzować wiedzę, przedstawiać i tłómaczyć ją ogółowi w najprzystępniejszy dla niego sposób. Istotnie, w estetyce, krytyce i mniemaniu ogólnem określano nieraz powieść obu powyższemi sposobami. Żadne przecież z określeń tych ściśle nie jest i nie przedstawia wszechstronnie samej istoty rzeczy. Powieść jest działem umysłowości ludzkiej mięszanym; z jednej strony należy ona niewątpliwie do dziedziny artyzmu, i bez żywiołów piękna zeń czerpanych posiadać nie może szlachetnych ponęt formy; z drugiej jednak—szerokim szlakiem wpływa w dział wiedzy, ten szczególnie, który streszcza w sobie wyniki nauk wszelkich, a zwie się filozofią i pozbawiona prawd, które w nim istnieją, traci wszelką wagę i powagę treści. Dwoistość ta przywiązana niezbędnie do natury powieści stanowi słabość jej i siłę. Stanowi ona słabość jej przez niezmierne utrudnienie w budowaniu wszelkich stałych i przewo-



dnicznych o niej teoryj, i przez wtrącanie twórców jej w częste a zgubne omyłki, polegające na zbytęcznym przechylaniu się w jedną lub drugą stronę. Stanowiąc przecież słabość stanowi ona i siłę jej, bo przez połączenie żywiołu piękna z żywiołem prawdy pozwala jej ona zaspakajać obie najmężniejsze władze umysłów ludzkich: wyobraźnię i rozum; czynić zadość istniejącym w człowieku wiecznie i jednocześnie: pragnieniu wrażeń i pożądaniu wiedzy. W tej to dwoistości natury powieści spoczywają główne przyczyny zbyt częstego jej i różnostronnego każenia i powszechnej, olbrzymiej popularności, która jest jej udziałem.

Lecz zkąd pochodzi sama dwoistość ta i niezbędna jej konieczność?

Odpowiedź na to znajdziemy w poznaniu praw rządzących powstawaniem powieści i całym procesem jej tworzenia.

Powieść częstokroć nazywaną bywa w przerośni zwierciadłem społeczeństw. Porównanie to, pomimo pozorów wszelkich, ścisłem wcale nie jest i wyraża mały zaledwie ułamek prawdy. Zwierciadło odtwarza w sobie obraz powierzchni rzeczy, i to w porządku, czy nieporządku takim zupełnie, w jakim znajdują się one w rzeczywistości. Co istnieje pod powierzchnią przedmiotów, jak wyglądałyby one, gdyby ułożono je w grupy i połączenia przeróżne, co w układzie i w wyglądaniu ich dziełem jest natury, a co wypadku? — o tem wszystkim zwierciadło nie mówi nam nic. Odtwarza ono tylko kształty, barwy, rysy z podobieństwem niewolniczem i ścisłem trzymaniem się jednej chwili czasu. Jeżeli zechcemy ujrzeć inny z kolei obraz i inną chwilę, zmienić musimy w ustawieniu zwierciadła czas i miejsce.

Takiem nie jest, nie może być zadanie powieści. Posługując się przerośnią, powieść porównać możemy chyba do szkieł jakich magicznych, któreby odzwierciadlały w sobie nietylko zewnętrzną postać rzeczy i widzialny wszystkim, powszedni ich porządek, ale ukazywały także treść ich najgłębszą, ugrupowania ich i oświetlenia najrozmaitsze, kollizye, lub powinowactwa między niemi zachodzące, co więcej, przyczyny powstawania ich, następstwa ich istnienia, zupełność i zaokrąglenie, które powstaćby mogły z oderwanych i pokrzywionych cząstek ich, gdyby nie oddziaływające na nie wpływy otoczenia. Słowem, powieść nietylko odtwarza, ale i tworzy także. Odtwarza ona zjawiska widzialne wszystkim, ale, dążąc do wyrażenia piękna i prawdy, których ogół dostrzedz nie może, tworzy pomiędzy zjawiskami



ład i związek póty, aż podniesie je do estetycznej, zarówno jak filozoficznej harmonii tonów i kształtów, podobieństw i kontrastów, przyczyn i następstw. Jakim sposobem wszystko to powstaje i staje się, ujrzeć to możemy w zaczątku i procesie tworzenia powieściowego dzieła.

Tu, zapiszmy w pamięci nazwy dwóch najważniejszych momentów tworzenia. Są to: pomysł i kompozycya.

Jeżelibyśmy w rozlicznych działach umysłowości ludzkiej wyznaczyli miejsce dla powieści tylko z uwagi na naturę najpierwotniejszego zaczątku jej w umyśle jej twórcy, musielibyśmy bezwarunkowo zamknąć ją w dziale poezyi, a w szczególności, w tym poddziale poetycznych tworów, który nosi nazwę dramatu. Sądzę, że nie omylę się, twierdząc, iż każda powieść posiadająca w sobie zadatki dobrego rozwinięcia się, otrzymuje pomysł swój zawsze i tylko z dostrzeżenia wśród świata sytuacji pewnej, czyli położenia jednostki jakiejś, lub grupy jednostek takiego, w którym mieści się dramat. Sytuacya ta ukazywać może jednego tylko człowieka lub tysiące, miliony ludzi, maluchną jednostkę lub całe, wielkie grupy społeczne; lecz zawsze, niezbędnie, w mniejszej lub większej mierze istnieć w niej muszą żywioły składające dramat: kolizya sił sprzecznych sobie, plastyczność kształtów, walka i cierpienie. Kolizya może tu być potężna lub słaba, kształty olbrzymie lub drobne, walka i cierpienie zakończone katastrofą, albo rozpryskujące się śmiechem, albo jeszcze, nierzadkim torem rzeczy ludzkich wpływające ostatecznie w prozaiczną powszedność; niemniej przecież zaczątki przynajmniej wszystkich dramatycznych żywiołów tych mieścić się muszą w sytuacji będącej pierwotnym punktem wyjścia powieści — jeżeli powieść ta ma być dobrą. W chwili tej, szkła owe magiczne, znajdujące się kędyś, w głębiach władz umysłowych pisarza, porywają i odzwierciedlają, czyli odtwarzają sobie zjawisko dojrzone w naturze. Lecz — krótka to chwila, bo wnet po niej, rozpoczyna się funkcyja tworzenia. W magicznych szklach odbija się już nietylko to co bezpośrednio przed niemi stoi, ale zkądcis — ze stron różnych, przybывают blaski, prądy, wyobrażenia, przenikają punkt dostrzeżony, oświetlają go nawskróś, rozszerzają jego granice, wzniecają w nim tumult kształtów, tonów i wzruszeń, z którego potem, wśród trudów i zachwieć kompozycyi, wywikłaną ma być — harmonia.

Dotąd, moment tworzenia zwany *powymysłem*, należy całkiem do artyzmu, do sztuki. Wprędce jednak mięsza się z nim pierwiastek



inny: rozmyśl. Wpatrując się w sytuacją dramatyczną w świecie dostrzeżoną, a rozszerzoną, dopełnioną przez pierwszy akt wyobraźni zrywającej się do tworzenia, spostrzegacz-twórca pytać zaczyna: z kąd? dla czego? kędy źródło kolizji tych, walki tej, cierpienia? Jakie przyczyny zrodziły je i jakie z kolei następstwa zrodzonymi przez nie zostaną? Rozmyśl nad pytaniami temi odsłania zamkniętą w sytuacji prawdę etyczną — właściwy naturze jej, pochodzeniu i następstwom sens filozoficzny, czyli — tak zwaną ideę powieści. Wśród rozważania skombinowanych i subtelnych zjawisk psychicznych, społecznych objawów i moralnych prawd, moment pomysłu pisarskiego przekracza granice czystej estetyki, a wstępuje w dziedzinę — filozoficznej wiedzy.

Tu właśnie istnieje szkopuł, o który rozbija się w sposób nieszczęsny mnóstwo powieściopisarskich utworów. Niezbędnym warunkiem dobroci pomysłu powieściowego jest to, aby dostrzeżenie sytuacji poprzedzało wynalezienie idei, albo przynajmniej, aby sytuacja i idea dostrzeżonymi były jednocześnie, -- czyli, idea zamkniętą była w sytuacji dostrzeżonej i zupełnie jej samej właściwą. Jestto właśnie tą koniecznością, którą estetycy wyrażają przez orzeczenie, iż w głowie twórcy treść powinna powstawać jednocześnie z formą, i że gdy w momencie pomysłu forma szukaną, dobieraną jest dla treści, pomysł uważać należy za chybiony w samym zaczątku. Chybienia takie wydarzają się często. Stosownie do przeważających skłonności umysłów pojedynczych, pomysł wykrzywia się w stronę jedną lub drugą. Jedni, za punkt wyjścia biorą ideę i dla niej dopiero szukają po świecie wcieleń: sytuacji, postaci, kolizji; że jednak te ostatnie nie znajdują się na zawołanie, czerpią je z wyobraźni własnej, tworzą bez odtwarzania. Ztąd powstają te słusznie przez krytykę surowo sążone kategorie powieści dydaktycznych i sentymentalnych, kategorie, z których pierwsza przetwarza powieść w dyalogowaną rozprawę, pozbawioną wszelkich żywiołów artyzmu; druga — przedstawia plody mgliste, łzawe, rozwiewne, o barwach i postaciach zdradzających pochodzenie swe z czystej fantazyi, a rozbrat zupełny z żywą, jędrną zawsze i barwną naturą. Lecz też i na odwrót bywają, nierzadko, umysły takie, które, wrażliwe na dostrzeganie sytuacji, dojrzeć nie umieją filozoficznego ich sensu, ani też wywikłać z pośród dramatycznych pierwiastków właściwej im etycznej idei. Wtedy, w skutek nieobecności w pomysle działań rozumowych, niedostatku w nim filozoficznej analizy i syntezy, powstają dzieła pisarskie wstrzą-



sające wyobraźnią, lecz innym władzom myślenia i czucia nie mówiące nic, potężnie czasem, najczęściej łaskotliwie tylko działające na nerwy, lecz nie wzruszające szlachetnych głębin ducha. Reprodukcyje te są z jaskrawą powierzchnią, ale płytką treścią, albo — cacka ładnie wymalowane, wyrzeźbione, sprawiające widzom dość żywą nieraz przyjemność, ale wagi istotnej nie posiadające ani w estetyce, ani w moralnym i umysłowym rozwoju ludzkości.

Drugi moment tworzenia: *kompozycya*, zależy już na porządkowaniu składowych części pomysłu, wykreślaniu tych, które zmacićby mogły harmonią dzieła, a układaniu w harmonią pozostałych. Do zadań momentu tego należą stopniowanie wrażeń, malowanie obrazów, rzeźbienie postaci, zestawianie wszystkich żywiołów powieści w sposób taki, aby przedstawiały się one z jak największą prawdą i wydatnością.

Powszechnie znaną jest zasada, że piękność i waga powieści zależy od pomysłu jej i wykonania, jako też od zgody zachodzącej pomiędzy treścią a formą. Otóż, zgoda ta polega na jednoczesnem wynalezieniu sytuacji i idei bez szukania i dopasowywania jednej do drugiej. Idea spoczywać winna w samej sytuacji dramatycznej a spoczywać w niej winna koniecznie, inaczej powieść będzie nudnem dziełem dydaktyki, albo błahostką. Co zaś do pomysłu i wykonania, to im dramatyczniejsza i potężniejsza jest kolizya znaleziona w sytuacji a idea szerszą i żywiej, powszechniej ludzkość obchodzącą, następnie zaś, w kompozycji, im zupełniejszą sprawiona zostaje harmonia części, wydatniejszą plastyka postaci i barwność obrazów, im logiczniej idea wysnuje się z dramatu, a dramat im samodzielniej przedstawi sobą ideę — tem piękniejszą, donioślejszą, bardziej i dodatniej wpływową stanie się powieść.

Taką jest najgłębsza natura powieści, takimi są prawa rządzące powstawaniem jej i rozwojem. Zbadawszy jedną i drugie, nie trudno już wynaleść i nazwać te siły i narzędzia umysłowe, które posiadać i zdobyć winien powieściopisarz, jeżeli pragnie on i może zająć słuszne miejsce wśród istotnie pożytecznych pracowników ludzkości.

Posiadać i zdobyć. Na dwa te wyrazy położmy nacisk wyraźny. Posiadanie odnosi się tu do przyrodzonego talentu; zdobywanie, do wszystkiego, co człowiek sam ku pożytkowi talentu swego uczyni.

Co to jest talent? Wielu próbowało wyjaśnić i określić to, lecz nikt nic nie wyjaśnił i nie określił. Próby te liczne i przez



niepoślednie umysły czynione okazały się daremnymi dla tego, że zagadnienie samo należy do rzędu zagadnień, wobec dzisiejszego przynajmniej stopnia wiedzy ludzkiej, nierozwiązalnych. Psychologia w połączeniu z fizyologią zwalczyć tu nie mogą ciemności takich, z jakimi nadaremnie walczą nauki inne. W ciemnościach tych kryją się pierwsze przyczyny wszystkiego, niedojrzały oku ludzkiemu absolut. Widzimy objawy przyczyn tych przemożnych a tajemniczych, poznajemy objawów tych działania i związku, lecz czem przyczyny te są same w sobie — nie wiemy.

Fizyka głosi, że siła ciężenia utrzymuje w równowadze i wiedzy po przestrzeni miliony światów. Lecz czem jest siła ciężenia sama w sobie? Chemia wie dobrze o powinowactwach i wstrętach zachodzących pomiędzy żywiołami natury, o tem, że jedne z nich przyciągając się, inne zaś odtrącają i bronią się od połączeń wszelkich; lecz czem jest sama w sobie siła ta, która przyciąga, albo wzajem od siebie odtrąca ciała chemiczne?

I jeszcze przykład pytania jednego najwyższej wagi. Po między światem nieorganicznym a organicznym istnieje przedział olbrzymi. Tworzy go to coś, czego nie posiada świat pierwszy a co posiada świat drugi, a tem czemś jest — życie. Botanika, zoologia, biologia, spozstrzegają i tłómaczą ogromne mnóstwo objawów życia — lecz czem samo w sobie jest życie?

Do rzędu pytań podobnych należy pytanie: czem jest talent? Szczególna czułość i wrażliwość zmysłów, bystrość spozstrzegania, intuicya — ta błyskawica jasnowiedzenia niewiedzieć jak wytryskająca z umysłu i rozświecająca niewidzialne bez niej głębie świata, gwałtowność myśli i wyobrażeń cisnących się do głowy i przed oczy z taką mocą, że według wyrażenia wielkiego poety naszego: „zdaje się jakby ktoś do ucha to szeptał,“ — wszystkie władze te i innym niedostępne możliwości, w mniejszem lub większem spotęgowaniu swem są tylko objawami mniejszego lub większego talentu, ale nie samą jego istotą. Co sprawia byt ich i mierzy ich siłę? dla czego istnieją one w organizacyi tej a nie istnieją w innej, która przecież zarówno jest ludzką, a co ważniejsza — innostronnie nawet doskonalszą być może? Jeden z przododników nowożytnej myśli, z poważnym smutkiem pisząc o wszystkich tajemnicach tych, które przeniknąć oko ludzkie namiętnie pragnie a wiecznie nie może, czyni tę ostatecznie decydującą uwagę: „Rozbiór działań umysłu ludzkiego doprowadza nas aż do wrażeń, jako do najpierwotniejszych



znanych nam żywiółów rodzących myśl wszelką; nie posuwa to jednak wiedzy naszej ani na krok dalej, bo ostatecznie nietylko nie rozumiemy czem jest wrażenie, ale pojąc nie możemy tego nawet, jakim sposobem jest ono możliwem.“ (1)

Rozwagać więc, tłómaczyć sobie i oceniać możemy talent wszelki według objawów jego tylko, według: bystrości spostrzegania, siły intuicyi, lotności myśli, mocy słowa, które zdolnemy było spełnić oprócz właściwej sobie czynności, czynności pędzła, ołówka i rylca. Zupełność lub niedoborność, bogactwo lub ubóstwo talentu stosunkują się do sumy, stopnia i równowagi objawów tych, w danej organizacji umysłowej.

Dotąd, wszystko to jeszcze jest dziełem wykonanem w tajemnicy oku ludzkiemu niedostępnej. Złota to ruda, której żadna moc ludzka wytworzyć nie może w żadnej najbogatszej choćby zkądinąd organizacji człowieczej, która gdy istnieje w niej, istnieje już tylko z woli i mocy Mądrości wszechmocnej, w pierwszych sposobach tworzenia swego wiecznie tajemniczej. Jednak wszechmocna a tajemnicza Mądrość, tu jak wszędzie indziej, okazuje w odniesieniu do człowieka zbawczą surowość. Tu jak gdzieindziej daje mu ona materiały wytwórcze, rozsuwa przedzę na krośnach. Co zaś zdoła on z materiałów od niej wziętych wytworzyć, jakie, za sprawą jego, tkaniny powstaną z rozsnutej przez nią przedzy? zależy to już od przyrodzonych zupełnie i jasnych umysłowi ludzkiemu praw, rządzących naturą i rozwojem ludzkości i ludzkich jednostek.

Jak naturę zewnętrzną, aby uczynić ją sobie przyjazną i użyteczną, człowiek badać musi, podbijać i wyzyskiwać z mozołem strasznym lecz będącym—kto wie—jedyną może racją i możliwością bytu jego na ziemi, — tak zarówno z roli swej wewnętrznej otrzymać on nie może żadnego ziarna zdrowego, jeżeli pozostawi ją w zaniedbaniu dumnym czy leniwem.

Lecz czem i w jaki sposób uprawiać on ma rolę tę?

Czułość i wrażliwość na wszelkie dotknięcia świata zewnętrznego, stanowią najpierwotniejszy żywiół zdolności odtwarzającej i twórczej. Najprostszemu przecież rozsądkowi jasnym jest zupełnie, że władze te, pozostawione samym sobie, pozostają nicością lub zamieniają się w chorobliwość. Histerya nie posiada w sobie ani trochę mniej pierwiastku czułości i wrażliwości

---

(1) Herbert Spencer, *Easai sur le progrès*, tr. p. Burdeau.



jak geniusz; one to wywołują z piersi ludzkiej olbrzymie słowa i wzniosłe aspiracje, zarówno jak — ataki spazmów. Łatwość odczuwania zetknięć wszelkich ze światem zewnętrznym, aby stać się istotnie podstawą twórczości, potrzebuje kierunku i hamulca spoczywającego w wyrobionej woli. Bystrość spostrzegania nie przyda się na nic, lub przyda się na niewiele, jeżeli nie towarzyszy jej zrozumienie spostrzeganych zjawisk i umiejętność czynienia pomiędzy nimi wyboru i kombinacji. To samo z intuicyą, która także jest spostrzeganiem, dokonywanem tylko za pomocą władzy umysłu niezrozumiałej nam natury. Co do analizy zjawisk, ugrupowania odpowiedniego naturze ich, dochodzenia przyczyn ich i następstw, wysnuwania z nich słowem praw i pojęć — czyli idei, — czynności te umysłowe wszystkie wymagają pracowitego skupienia myśli, na podstawie dobrej znajomości z naturą fizycznego i moralnego świata.

Spotkaliśmy się więc tu z wyrazami: wola, miłość, umiejętność i zrozumienie.

W wyrazach tych widzimy jasno pojęcie wykształcenia estetycznego, naukowego i moralnego. Wartość tedy prac pisarza ściśle stosunkuje się nie tylko już z wysokością i bogactwem pierwotnych zdolności jego, ale z wysokością też i kompletnością troistego tego wykształcenia.

Co do wykształcenia estetycznego zostaje ono w związku tak prostym i widzialnym ze wszelką pracą odtwarzającą i twórczą, że konieczność jego z żadnym tu spotkać się nie może powątpiewaniem. Powieść należąca do dziedziny poezji przez samą genezę powstawania swego, ściśle jest spokrewnioną z malarstwem i rzeźbą, przez wymagalność dla dobroci formy swej barwności w obrazach i wydatności w postaciach. Jest to tak dalece prawdą, że wyrażenia stosowane w estetyce dla malarstwa i rzeźby stosują się też i do niej. Koloryt i plastyka odpowiedniami są określeniami przymiotów artystycznych, w ocenianiu estetycznym malowideł i rzeźb zarówno jak powieści. W sądach krytyki utartem, a co więcej, trafnem zupełnie stało się orzekanie o dobrym lub złym *rysunku* powieściowych postaci. Zamiast pędzla, ryłca lub dłuta, powieściopisarz posługuje się słowem; tylko słowem, zamiast wprost i bezpośrednio uderzać wyobraźnię widza, rozbudza on ją i przysposabia w ten sposób, aby ujrzała jak najwyraźniej to, co objawiło się własnej wyobraźni jego. Środki tu i proceder inne są — skutki wywołane też same być muszą, niezbędnem więc jest toż samo wykształ-



cenie zmysłu artystycznego, będącego częścią intuicji przez wyrobiony smak artystyczny, będący niczem innym jak tylko *umiejętnością* oceniania, wybierania i grupowania pierwiastków piękna.

Rzecz to dość szeroko, choć nie powszechnie znana i przyznana.

Inaczej rzecz się ma z wykształceniem naukowym.

Mnóstwo umysłów nonsensem uzna twierdzenie, iż zapoznawanie się z poważną nauką może być na cokolwiek przydatnym temu, kto przedstawiać ma samą tylko, jak najpowszechniejsze jest o tem mniemanie, dziedzinę uczuć ludzkich. Wszak fizyka, chemia, biologia, prawoznawstwo itd. nie są w stanie wytworzyć natchnienia twórczego w głowie człowieka, tak jak powiedzianem już było, że niezdolnemi one są do wytworzenia w sercu ludzkim uczucia miłosierdzia.

W istocie—nonsensem byłoby twierdzenie, że wiedza naukowa, polegająca na znajomości nagich i oderwanych faktów i cyfr, wytworzyć może w umyśle natchnienie twórcze, albo w sercu uczucie litośne. Nikt też w świecie, na umyśle przytomny, twierdzenia takiego dopuścić się nie może. Ale fakta te i cyfry, z których każde w oderwaniu wywierać nie może wpływu żadnego ani na twórczość umysłową, ani na moralne skierowanie się człowieka, w połączeniu swem odkrywają wiekuiste prawa rządzące światem, roztaczają przed nami obraz świata, którego linie nierozwikłalne z pozoru i do pogodzenia niepodobne, prostują i jednoczą. Bez rozpoznania praw tych, bez ogarnięcia okiem tego obrazu niepodobnym jest szeroki pogląd na zjawiska tak zewnętrznego świata, jak ludzkiego życia, niepodobnym jest dochodzenie przyczyn i ich następstw, dokonywanie rozbioru i czynienie syntezy — niepodobną jest słowem wszelka myśl — filozoficzna. Nie nauki też pojedynczo wzięte, nie odkrycia ich w oderwaniu, ale pojęcia wytryskujące z ich połączenia wywierają na zdolności umysłu i uczucia serca ludzkiego wpływy przeżożne.

Czy, jak to jest mniemanem powszechnem, powieściopisarz przedstawiać ma w utworach swych, obrazy i dzieje tylko uczuć ludzkich? W określeniu natury, przeznaczenia i powstawania powieści, znaleźliśmy już odpowiedź przeczącą. Spostrzega on wprawdzie dramat, ale w naturze przyszłego dzieła jego spoczywa potrzeba spostrzeżenia w dramacie idei. Do sfery działalności jego należy więc odtwarzanie nie tylko uczuć, ale i mniemań



nietylko walk napiętności, ale i starć myśli. Uczucia i pojęcia przedstawiają dla odtwarzającej i twórczej pracy jego materyały zupełnie równoważne, tu jak i wszędzie połączone ze sobą węzłem nierozzerwalnej solidarności.

Zachodzi tedy dlań niezbędna potrzeba poznania i zrozumienia etycznych pojęć ludzkości w źródłach ich, przebiegach i ujęciach i wyrobienia w sobie, na mocy poznania tego, filozoficznych poglądów i przekonań. Ażeby mózdz wejść w świat idei i z samej duszy ludzkości brać materyały dla stawianych przed nią ideałów, potrzebuje on sam w idee i ideały wierzyć, ażeby zaś wierzyć, potrzebuje się z nimi zapoznać.

Lecz nietylko dla rozumowej strony dzieł powieściopisarskich, wykształcenie umysłowe posiada wagę niezmierną: wspiera też ono wszechstronnie stronę ich artystyczną. Utwór artystyczny wszelki tem większą posiada wagę i piękność, im liczniejsze grupy zjawisk świata czy ludzkości przedstawianemi są przez zawarte w nim typy. Otóż, jedno tylko ukształcenie umysłowe uzdolnić może pisarza do wynajdywania typów, do wytwarzania ich za pomocą prostowania i skupiania linii, wykrzywionych i rozproszonych w naturze za sprawą przypadku i wyjątkowości. Żadna intuicya, żaden najbystrzejszy choćby dar spostrzegawczy nie wskażą mu subtelnych granic tych, które rozdzielają zjawiska przelotne, wypadkowe, cząstkowe od zjawisk stałych, z przyczynami sięgającemi najdalszej głębi natury świata i ludzi, nie zawiodą go ku tym cechom i objawom, które przedstawiają nieoderwaną tylko jednostkę, ale całe grupy i warstwy społeczne, narody, wieki.

Pozwalając mu uczynić zadość jednemu z najwybitniejszych wymagań sztuki: wynajdywania i przedstawiania typów, myśl wsparta posiadaną wiedzą, jasno zatem i szeroko rozglądająca się dokoła, rozprzestrzenia w sposób szczególny pole działania dla fantazyi pisarza. Z pomocą jej, dostrzegając łatwiej i rozumiejąc lepiej idee spoczywające w dramatach ludzkich losów, nieskończenie też więcej dojrzeć on może samych dramatów. Sytuacje dramatyczne, pierwsze owe zawiązki powieści, rozmnażają się w ilość nieskończoną przed okiem umiejącem patrzeć w najtajniejsze zakątki ludzkości i rozumieć to co w nich widzi. Tysiące położeń ludzkich, przemykających niepostrzeżenie przed okiem najbystrzejszem choćby lecz niedość oświeconem, przykuwa do siebie wyobraźnią i myśl tego, kto zrozumieć może i zważyć istotę ich, znaczenie, pochodzenie i następstwa. I to jest właśnie, co



tłómaczy nam najlepiej zdumiewającą płodność talentów jednych a szybkie wyczerpywanie się innych. Zauważano niejednokrotnie w powieściopisarstwie zjawiska takie, jak nieustanne wciąż obracanie się powieściopisarzy pewnych w zakłętym kole jednych i tych samych sytuacji, obrazów i pojęć. Działalność ich całą przedstawiają utwory ściśle też same, innemi tylko słowy pisane.

Z pomiędzy dzieł ich przeczytawszy kilka, z góry już odgadnąć można, co znajdzie się w innych. Przebierają oni postacie swe w inne coraz suknie a myśli swe wypowiadają coraz innemi okresami, lecz postacie te grunt mają zawsze jeden a myśli też same głoszą prawdy. Krążenie to ustawiczne około jednego punktu estetycznego i etycznego, dziwnie szybko nuży i wyczerpuje pisarza. Wyobrażenia jego blednie, myśl starzeje, słowo słabnie, aż ostatecznie utwory jego przybierają ckliwy i zasmucający pozór przedmiotów spłowiałych i wątych. W taki sposób marnieją niekiedy talenta objawiające zrazu niepomierne nawet przyrodzone bogactwo. Bezpośrednią przyczyną zmarnienia takiego bywa zawsze ubóstwo tematów, a ubóstwo tematów nie zkądinąd pochodzi, tylko z niedostatecznego wykształcenia umysłowego, z ubóstwa, ciasnoty i lenistwa myśli. Co do ilości dzieł pisarze tacy bywają nawet niekiedy płodnymi, przecież nie są takimi istotnie. Płodność pisarska istotna nie zasadza się na ilości utworów, ale na rozmaitości sytuacji i idei w nich przedstawionych. Jeżeli pisarz spostrzega jedną wciąż sytuacją, przedstawia wciąż jeden typ, zgłębia wciąż jedną idee, to— chociażby to uczynił w tysiącnych odbiciach i z tysiącnymi wariantami — wszystkie dzieła jego będą — jednym tylko dziełem.

Przeciwnie—ilekroć w piśmiennictwie obecnem lub minionych dziejach jego spostrzegamy jednostkę pisarską bogatą w pomysły, z szerokim lotem fantazyi, ze wszechstronnem ujęciem i zrozumieniem czasu i narodu swego, — przy bliższem wpatrzeniu się w jej dzieła przekonujemy się zawsze, że była to lub jest jednostka wysoce ukształcona umysłowo, silna w wiedzy i przekonaniach swych. Jako żywe argumenty ku poparciu dowodzenia mego, pozwolę sobie przytoczyć tu imion kilka, które, pomimo niskiego stopnia, na jakim teorye różne stawia powieściopisarstwo, otoczonemi zostały aureolą powszechnej miłości i czci. Kraszewski, Dikens, W. Hugo, Jerzy Zand — oto żyjące wcielenia niezmiernego bogactwa pomysłów, najwyższej potęgi fantazyi, przedziwnego zawiadnięcia wszystkimi ideami przenikającemi czasu ich i narody. Z pod piór ich wyszły całe narody typów i całe galerie



obrazów, — pod piórami ich ozwały się wszystkie płacze i śmiechy, pożądania i westchnienia, upadki i tryumfy społeczeństw ich; oni społeczeństwa swe tak zrozumieli we wszystkich objawach ich, przypatrzyli się im tak na wszystkich ich drogach, tak odczuli wszystkie tentna i pojęli wszystkie prądy czasu swego — i tak potężne z kolei wywarli na nie parcie i wpływy, że widok ich działalności usprawiedliwić może istotnie dumne słowo jednego z pomiędzy nich, (W. Hugo): „Prawodawcy tworzą prawa lecz my tworzymy prawodawców.“

Świetne zaś te indywidualności pisarskie ukazują nam nie tylko twórców-artystów ale i myślicieli. Tytuł filozofa-moralisty należy się każdej z nich niemniej słusznie jak nazwa powieściopisarza.

Dla uniknięcia nieporozumień wszelkich streśćmy twierdzenia powyższe i wytłómaczmy je jaśniej jeszcze. Zadaniem powieściopisarza względnie do wykształcenia naukowego nie jest zajęcie się ściśle jedną wyłącznie gałęzią wiedzy. Rzadko chyba może on, wątpię nawet czy kiedykolwiek może — zostać specjalistą, fizykiem, astronomem, prawoznawcą i t. d., lecz dla tego, by sięgnąć mógł ku wyżynom piękna i prawdy, powinien, musi być — encyklopedystą. Powie kto może, iż być encyklopedystą znaczy to umieć wszystkiego po trochu. Ale jest jeszcze inny właściwszy sposób tłumaczenia nazwy tej. Sposób ten ukazuje encyklopedystę-powieściopisarza umięjącego tyle i tak, ażeby nic z tego co ludzkie nie było mu obojętnem i niezrozumiałem, ażeby wiedza jego pozwalała mu obejmować okiem szerokie przestrzenie zjawisk, przenikać, spostrzegać i pojmować różne a liczne warstwy społeczne, sytuacje psychiczne i filozoficzne idee, ażeby nakoniec wprawiała go ona w nieustanną a sympatyczną styczność z duszą narodu jego i czasu. Encyklopedyzm tak rozumiany wynikiem być może tylko wielkiej pracy, a najdzielniejszą z pomiędzy wszystkich przyczyną wysokiego wzniesienia się skali moralnego charakteru pisarza.

Miłość, wola i odwaga — oto główne i najniezbędniejsze składowe części tego charakteru.<sup>(1)</sup> Bez miłości jak bez wiedzy

---

(1) Na zdanie to pisać się całkowicie nie możemy z powodu, iż Sz. Autorka pominęła najważniejszy naszym zdaniem żywioł każdego podnioślejszego moralnego charakteru — wiarę, wiarę w jakiekolwiek przekonania i zasady. Człowiek, który „w nic nie wierzy,“ któremu na drodze życia nie przyświeca stale jasny promień tym



pisarz tworzyć może same tylko rzeczy błahe albo złe. Większa niż u innych zdolność do wrażeń i odczuć nie jest jeszcze miłością — lecz zadatkami jej zaledwie, materyałem. Stósownie do kierunku i natężenia umysłowej pracy jego, jak też różnych moralnych czynników życia, oderwane te iskry bledną i pierzchają lub też gromadzą się w jedno ognisko miłości. Ognisko to wznosi się lub opada, stósownie do wznoszenia się lub opadania indywidualności ludzkiej, noszącej je w swej piersi. Kapryśnem ono jest i mętami odżywiać się nie lubi. Surowość obyczaju, czystość intencji, pracowitość myśli i to pojętne wniknięcie w głębie świata, z którego powstają wyrozumiałość, litość, przebaczenie — rozniecają je żywo i trwale. Przygaszają je albo gaszą całkiem: bezład życia, nizkość rachuby i ta okrutna surowość, która, pochodząc z niewiedzy rodzi nienawiść, szyderstwo i wgardę.

Zarzucić tu kto może, iż życie genialnych nieraz indywidualności pisarskich rozbrzmiewały przeciw niezadko głośnym bezładem, szalami, błędami (np. Jerzy Zand, Edgar Poe itd.) Prawda — nikt przeciw dowieść nie zdolen, ażali w bezładzie tym, szalach i błędach nie zmarniała spora część wielkich ich duchów, ażali nie utracili oni wśród nich niejednego klejnotu uczucia i myśli. W dodatku, zważyć tu jeszcze należy wzgląd, że błąd błędowi równym nie jest. Bywają usterki, szaly, co więcej, zbrodnie nawet, które sprowadzone bądź to wybuchami wulkanicznych temperamentów i serc, bądź to wyjątkowemi okolicznościami otaczającym, zawsze prawie jednostkę wznoszącą się nad ogół, obarczają zapewne ciężarem mniejszym lub większym sumienie swych sprawców, pożerają coś z sił ich drogocennych, lecz nie unicestwiają szlachetnych ich przymiotów, lecz nie zamykają przed nimi wrót ideału. Czyni to zaś nieodmiennie systematyczny bezład przyzwyczajęń, systematyczne, ruchubą objęte nie już występki, lecz chociażby grzeszki, puszczenie wodzy niskim instynktom natury ludzkiej, miękkie rozpieszczenie ciała i ducha i pochodząca zeń samolubna trwożliwość o samego siebie. Ujemne te strony życia

---

lub owym sposobem zdobytych przekonań, błakać się musi po manowcach, choćby w łonie swem nosił najpotężniejszy zasób miłości, woli i odwagi. Człowiek musi przecie kochać „coś,” chcieć „czegoś,” mieć odwagę walczyć w sprawie „czegoś.” Otóż, naszym zdaniem, o prawdziwym charakterze tam tylko mowa być może, gdzie jest siła, co miłość, wolę i odwagę zawsze i stale w jednym zwraca kierunku — w kierunku „prawdy.” Siłę tę daje człowiekowi — „wiara.”

(Przypisek Redakcyi.)



mniej spostrzegane od wulkanicznych szalów i rozgłośnych błędów, bardziej jednak niebezpieczne dla wszelkiej zdolności twórczej. Sławne powiedzenie „le style c'est l'homme” zawiera w sobie część prawdy, ale nie najściślej rzecz określa. Style istnieć mogą sztuczne. Jeden pisarz, władający mistrzowsko słowem, rozporządzać się może stylów mnóstwem,—energicznym być i łzawym, jasnym i mglistym, tkliwym i szyderskim na przemian. Herbert Spencer w rozprawie swej o filozofii stylu wyraził się, iż doskonałym pisarzem jest ten tylko, który może czuć wszystkimi uczuciami i wszystkimi stylami pisać. Myśliciel angielski zupełną ma słuszność. To też styl uważać należy, wbrew dotychczasowym wyobrażeniom, za niepewne wielce zwierciadło moralnego charakteru pisarza. Za to, śmiało powiedzieć można: „l'oeuvre c'est l'homme.” Charakter pisarza odzwierciadla się wyraźnie, bezzaawodnie, w pełnym obrazie jego działalności. Tu, swawola lub czystość obyczajów jego, szlachetność albo nizkość przyzwyczajęń, miara miłości jaką miał on dla idei głoszonych przez się i miara odwagi posiadana dla głoszenia idei tych, wyciskają wydatne i niestarte piętno na dziełach jego razem wziętych, znaczą je powagą lub płochością, gorącym prądem uczucia lub jego oschłością, duchem ofiary i męstwa lub nizkiem drzeniem i smutną chwiejnością trwóg samolubnych.

Tu miejsce jest wspomnieć kilku słowy o dość upowszechnionem mniemaniu, jakoby jednostki obdarzone przez naturę talentami twórczymi stały wśród świata na innych prawach moralnych niż reszta ludzkości, jakoby spotęgowana w nich skłonność do odbierania wrażeń tłómaczyła zbrocenia ich a nawet je ukonieczniała. Teorya ta dogodna zapewne dla tych, których się tyczy, jest też zarazem wysoce im ubliżającą. Wyższość nie może nadawać przywileju na niższość. Bogate dary przyrody nie powinny obdarzoną niemi jednostkę wyjmować z pod praw najwyżej ludzkich. Prawda, że natury bogate łatwiej i silniej czując, goręcej pragnąc i wyżej rojąc, więcej na drodze swej niż inne spotykać muszą kamieni obrazy — ale też posiadają one i więcej sił odpornych. Niosąc większy ciężar cierpień, wyrzeczeń się i walk, pełniejszemi też dłońmi czerpać mogą ze źródła najwyższych ludzkich rozkoszy. Błądzić one mogą i muszą—koleją niezbędną rzeczy ludzkich, — ale ujmować w system błędy swe i w imię wyższości swej wyjednywać na nie u ogółu pozwolenie, pod karą samobójstwa nie wolno im. Samobójstwa — bo wprzód nim zniestwiona w pisarzu dostojałość ludzka, za pośrednictwem dzieł



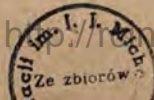
jego wywrze zły wpływ na ogół — własne bogactwa jego, by największe, ulegną szkodom wielkim lub zupełnemu zmarnieniu.

Tak więc, po bliskiem rozpatrzeniu się w naturze zdolności twórczych i ich przeznaczeń, widzimy z samej natury tej wypływającą dla pisarza konieczność podwójnych: umysłowych i moralnych trudów i — jakże daleko pozostawiamy za sobą wyobrażenie o ptaku śpiewającym i cudotwórnem jego gardziółku!

W sposób taki, niedostateczny zapewne lecz dający o rzeczy wyobrażenie niejake, wyjaśniwszy przed sobą istotę samą tej gałęzi piśmiennictwa, jako też sił i narzędzi wymagalnych od jej pracowników, posiadliśmy pewne punkty wyjścia dla rozpatrywania się w działalności jednego z najpotężniejszych u nas twórców powieści i rozpatrywanie się to rozpocząć możemy z niejaką pewnością, że do potężnej indywidualności pisarskiej zastosujemy miarę jej godną.

Pragnęłabym, aby to najstaranniejsze, o ile możności stało, ustanowienie miary sądu, jako też podniesienie jej do wysokości niepomiernej, któremi poprzedziłam rozbiór prac T. T. Jeża, posłużyło za dowód czci mojej dla pisarza tego wyznawanej, czci tak wysokiej, że braki i usterki nawet w dziele jego dostrzeżone, umniejszyć jej nie mogą. Nic bowiem nie wydaje mi się bardziej ubliżającym sprawiedliwości jak owe, dość często w piśmiennictwie spotykane, oceny dzieł poważnych pisarzy, rzucające pochwały i nagany na prawo i lewo, gołosłownie, bez przytaczania dowodów, bez wniknięcia w naturę jednostki pisarskiej, czasu jej i wymagań odnośnej gałęzi piśmiennictwa. Wyroki takie o pracy poważnej, ciężkiej, życie całe nieraz trwającej, ferowane piórami aż nadto śmiało na przestrzeni małego odcinka peryodycznego pisma wydają mi się przykrem i płochem lekceważeniem trudów i zasług, z którymi należałoby zaprawdę, obchodzić się jeżeli już nie z większym szacunkiem, to przynajmniej z większą sprawiedliwością.

I jeszcze słów kilka. Powszechnem prawie jest mniemanie, że w kodeksie konwenansów istnieje artykuł jakiś, orzekający, iż nieprzystojnem jest, aby powieściopisarz drukiem wyrażał zdanie swe o powieści i jej pracownikach. Niepodobna jednak ani dojść racy bytu szczególnej tej konwenansowej ustawy, ani się na nią zgodzić. Każdy przecież najgoręcej miłuje to i najlepiej zna się na tem, co stanowi zawód jego, specjalność, główną zatem ośnowę moralnego jego życia; a możnaż o czemkolwiek myśleć i mówić lepiej jak o tem, co się miłuje i co się zbliża zna? Być może, iż przyzwolitą a z pewnością zabawną wielce byłoby rzeczą, je-





żeby młynarze rozpowiadali światu o dratwach, które do roboty swej wybierać mają szewcy, a szewcy nauczali świat najlepszego sposobu przemieniania ziarn w mąkę. Mnie się jednak zdaje, że gdyby młynarze nie prawili nigdy o szewctwie ani szewcy o młynarstwie, ale gdyby każdy z nich rozprawiał o swoim, wiele rzeczy robiłoby się lepiej na tym nienajlepszym świecie. (1)

(D. c. n.)

# O POWIEŚCIACH T. T. JEŻA

## Z RZUTEM OKA NA POWIEŚĆ WOGÓLE.

STUDYUM.

(Ciąg dalszy. Zob. zeszyt 97.)

### I.

Teodor Tomasz Jeż (Zygmunt Miłkowski), urodził się na Ukrainie, a pisać zaczął w szóstym dziesiątku lat stulecia naszego. Dwie te okoliczności posłużą nam do zrozumienia wielu cech i dążeń, odznaczających pisarską jego działalność.

Przed dwudziestu laty, w prowincyi rodzinnej T. T. Jeża, jak i w wielu innych prowincjach kraju naszego: na Litwie, Wołyniu, Białejrusi itd., istniała jeszcze w całej swej mocy ustawa poddaństwa chłopów, sprowadzająca sama przez się system gospodarowania pańszczyzniany. Na ustawie owej spoczywał ustrój całego społeczeństwa; system ów wpływał przemożnie nie tylko na losy, ale na najgłębsze usposobienia dwóch głównych warstw ludności krajowej. Ustrój społeczny wyrażał się rozłamaniem się ludności na stany silnie w sobie zwarte i zasadniczo od siebie rozdzielone. Losy i usposobienia odznaczające stany te były takimi, jakimi zwykle bywają wobec istnienia zależności poddańczej i pracy przymusowej z jednej strony a przywileju panowania i próżnowania z drugiej. Z poddaństwa i przymusowej pracy powstawały dla tych, którzy ofiarami jej



byli: ciemnota i cierpienie; przywilej panowania i próżnowania wyradzał w tych, którzy ofiarami jego byli, skłonność do nadużywania posiadanej władzy, lenistwo umysłu, rozmiękczenie obyczajów i idące za nimi zepsucie moralne. Takim przedstawiał się w miejscach owych i czasach stan rzeczy ujęty w najogólniejszych swych zarysach. Patrząc nań z *pozornych tylko i najwydatniejszych* jego objawów, nic w nim innego odkryć nie można było prócz bezsilnego cierpienia z jednej strony, a bezmyślnego używania i nadużywania z drugiej. Jednak, pod tą warstwą objawów najwybitniejszych płynęły *zdawna* a w porze owej wytryskiwać na powierzchnią społeczną zaczęły prądy uczuć i pomysłów, ustanowionemu porządkowi rzeczy całkiem przeciwnych. W łonie szerokiego ogółu, uczucia te i pomysły istniały nieinaczej zapewne, jak pod postacią nieokreślonego przecucia zmian zbliżających się i niejasnych o potrzebie zmian tych wyobrażeń. Społeczeństwo rozbite na jednostki pojedyncze, pozbawione wszelkiego dośrodkowego punktu, któryby zogniskowując myśli i wolę jednostek, pozwalał im na jasne sformułowanie i zamienienie w czyn, w ustawę, — społeczeństwo ogłuszone spadającymi nań wciąż ciosami i z naturalnych swych torów strącone, — nie mogło jasno i jednogłośnie zdawać sprawy same przed sobą, chociażby z przyczyn dręczącej je chorobliwości i środków, któremi leczyć ją należało. Że jednak tu i owdzie dostrzegano wkradającą się w ciało społeczne gangrenę i wyglądane czegoś, coby rozszerzać się jej przeszkodziło, temu zaprzeczyć niepodobna. Świadczą o tem fakty pojedynczych zrywań się ku wprowadzeniu zmian w stosunki społeczne, zrywań się pojedynczych, więc bezowocnych; świadczy też o tem przedewszystkiem fakt wykwitnięcia z pośród społeczeństwa licznego grona ludzi, którzy z całą potęgą oburzonego i strwożonego sumienia sformułowali protest przeciw temu co istniało i postulat tego co istnieć powinno było. Ludźmi temi, którzy nurtujące ogół niejasne przecucia i pomysły wytlómaczyli na język zrozumiały a wzruszający byli, jak w razach podobnych bywa zawsze, wieszczce narodu, czujący uczuciem i myślący myślami milionów. Imię ich było — legion. Lecz legion każdy wodzów swych mieć musi. Otóż, w epoce owej, u początku jej zapewne, śpiewak *Pana Tadeusza* wieńczył wspaniały swój narodowy epos obrazem uwolnionego ludu. Potem J. I. Kraszewski pisał „*Chata za Wsią*“, „*Ulanę*“, „*Budnika*“, „*Ostapę*“, „*Jarynę*“, Adam Plug wysłał w świat pełną werwy i zapału powieść swą: „*Duch i krew*“



Syrokomla nazwał się wiejskim lirnikiem, Kaczkowski stworzył „Rozbitka.“ Wszystkie utwory te piór natchnionych, wierszem lub prozą, lecz zawsze z żywością przekonań silnych, z siłą i plastyką talentów niepospolitych, przedstawiały bolesne dramaty wywiązujące się z krzywości podstaw, na których wspierała się budowa społeczna, ze spotkania się i starcia niewoli z nadużyciem władzy, niedoli i ciemnoty z pychą, zbytkiem i swawolą. Wtedy to, w owej to porze, T. T. Jeż wydał powieść swą: „Historią pra-pra-pra-wnuka i pra-pra-pra-dziada.“ Nie na tem jednak kończy się geneza kierunków, jakimi rozwinąć się miała twórcza działalność Jeża.

W łonie społeczeństwa prąd ów nowych pojęć i pragnień, podkopujący swolna stary ustrój społeczny, spotkał się z prądem innym, wnoszącym w serca i pamięci ludzkie wzruszające wspomnienia tego co było a być przestało. Prąd pierwszy dążył w przyszłość, drugi przybywał z przeszłości. Pierwszy budził do prac i przebudowywań społecznych, drugi utrzymywał w stanie czuwania samopoczucie narodowe. Samopoczucie to, tlejące w sercach ogółu biernie choć trwale, w piersiach i głowach jednostek wybranych rozpałiło się w miłość gorącą i czynną. Ztąd w porze owej powstały szeregi poetycznych i powieściowych utworów, tchnących rycerstwem i ofiarnością, walką za sprawiedliwość idei ukazujących się w światłach ideału. Z tego to prądu i w tej to epoce, lubo w różnych jej chwilach, powstały: „Wallenrod“ i „Grażyna,“ „Mohort“ i „Margier,“ „Kordecki“ i „Annuncyata.“ Twórcy dzieł tych przerzucali się w czasy minione, w pokolenia i obyczaje dawno zgasłe, lecz wśród nich wynajdowali zawsze sytuacje i idee najlepiej odpowiadające drugiemu temu prądowi uczuć i pragnień, który przenikał łono ich narodu. Wtedy to, i tym samym prądem przeniknięty T. T. Jeż, napisał powieść swą: „Szandor Kowacz.“ Przerzucił się on nie w czasy inne, lecz na inną ziemię i wśród niej znalazł obrazy ukochań tych, męczeństw i bohaterstw, które przedstawić zapragnął.

W taki to sposób i u samego początku swego zaznaczyły się wybitnie dwie te drogi, któremi stale, przez długie lata postępować miała działalność pisarska Jeża. Został on odrazu i jest dotąd powieściopisarzem społecznym i historycznym. Nie każdemu z wysoce utalentowanych nawet pisarzy danem zostało dobrodziejstwo dorazowego takiego trafienia na drogi naturze talentów ich właściwe. Nieliczni wielce potrafili sam już początek drogi swej zaznaczyć utworami tak doniosłej wartości artys-



tycznej i filozoficznej, jakimi są: „Szandor Kowacz“ i „Historya pra-pra-wnuka.“

Dwom tym podstawowym pracom autora przyjrzymy się zblizka.

Wśród położzeń rozlicznych, w jakie potęgi i okoliczności życia wprawiają ludzkie serca i losy, niepodobnaby wynaleść położenia dramatyczniejszego nad to, które stanowi sam związek, pomysł, powieści *Szandor Kowacz*.

Dziecię Węgry, wojaka a potem kowala, chłopię osierocone wczesnie po ojcu i matce, przyjętem zostaje na łono rodziny Simicza serba, który z ojcem jego połączył się był niezłomnem jak zakon rycerskiem braterstwem. Kowacz węgier i Simicz serb walczyli pod jedną husarską chorągwią, razem wrócili z wojaczki do Szegiedyna, miasta z ludnością mieszaną, węgiersko-serbską, lecz gdy Simicz utworzyć sobie zdołał ciepłe życie rodzinne i dostatni domowy byt, Kowacz zrozpaczony śmiercią żony późno pojętej, oddał się nałogowi pijaństwa i w uczuciu zbliżającej się śmierci, powierzył sercu i uczciwości brata po mieczu małego syna swego, wraz z worem pieniędzy przedstawiającym przyszłą jego fortunę. Siwicz dopełnił przyjętych na się zobowiązań. Dla niego i dla żony jego Anny, obok synów ich, Janka i Łuki i córki Maryjki, Szandor był czwartem i nie-najmniej ukochanem dziecięciem. Wzrósł on wśród przybranej rodziny swej, nie znając co to sieroctwo, troska lub smutek, dobroczyńców swych kochając gorąco, a najgoręcej małą towarzyszkę gier swych dziecinnych a późniejszą swą narzeczoną — Maryjkę. Trwało tak do chwili, w której Szandor osiągnął lat 22-ch i wrócił z wędrowki po kraju, którą przedsięwziął był w celu wydoskonalenia się w rzemiośle swem i jak, utrzymywał stary Simicz — przetarcia się w świecie. W chwili tej domostwo Simicza kipi zamożnem, gwarnem, szczęśliwem życiem. Simicz stary lecz rzecki jeszcze, coraz lepiej napełnia sporą skrzynię grosiwem przedstawiającem wiana jego dzieci; starszy syn jego Janko urzęduje kędyś w mieście innem, młodszy Łuka prowadzi pod okiem ojca fabrykę wozów węgierskich (koni), a Maryjka... Maryjka u wstępu powieści tańczy z Szandorem czardasza, po tańcu zaś idzie z nim pod jabłoń rozłożystą i szepce Szandor *lelkiem, galantum!* jak ja tęskniłam za tobą! ale już się skończyła tęsknica! już nie odejdiesz nigdzie? nie opuścisz nas? zostaniesz z nami na zawsze?

I pozostałby, nie odchodziłby już nigdy pewnie, gdyby



z wędrowki swej nie przyniósł był z sobą nic więcej prócz fachowego wydoskonalenia. Przyniósł jednak coś — co spłynęło weń z widoków zwiedzanego kraju, z zasłyszanych piosnek, podań, okrzyków i opowiadań. Serce jego odczuło wpływ wyrazu „Madiar.“ Uczuł się węgrem. Według prześlicznego orzeczenia autora: „Pojedyńcza osobistość jego topiła się w osobistości całego narodu, a pomimo to cały naród w jednej piersi mieściła.“

A było to w 1847 r. Niebawem w granicach austriackiego państwa zawrzała burza podwójna. Węgrzy zerwali się przeciw Niemcom, serbi przeciw węgrom. Ci i tamci waczyli o byt i sprawiedliwość. Tu i tam podniosły się nienawiści namiętne i zacięte boje. Stary Simicz nie wziąłby był sam przez się w całej akcji tej udziału żadnego. Rodem serb nie poczuwał się on przecież do narodowości innej, jak tylko huzarskiej. Huzarem za młodu był, huzarstwo tylko, huzarską cześć i potęgę znał i miłował. Szczególne to zjawisko psychiczne tłumaczy autor w bystrym i gruntownym przeglądzie ustroju państwowego Austrii. Lecz jeśli zacny stary stelmach w bezwiednym kosmopolityzmie swym nie poczuwał się do narodowości żadnej jako część do całości, dwaj synowie jego silnie i uparcie uczyli się serbami. Janko, starszy wiekiem, namiętniejszy temperamentem i bardziej jako urzędnik w mieście odległym oznajomiony ze sprawami szerokiego świata, odegrał względem flegmatycznego i zadomowionego Łuki rolę budziciela i rozdmuchiowacza narodowych uczuć. Zgromadza on w domostwie ojcowiskiem szegedyńskich serbów i odkrywa przed nimi zamiar spisku, którego celem ma być wysadzenie w powietrze prochowni i składu broni węgierskich. Głównym działaczem w niebezpiecznej sprawie tej czyni on brata swego Łukę. Szandor obecnym jest naradzie spiskowców. Moment to wysoce dramatyczny. „Niech będzie madiar przeklęty!“ wołają przysiężeni; na twarzach ich maluje się dziki, ponury zapał. Przy pierwszej wzmiance o wysadzeniu prochowni węgierskiej Szandor porwał się i wybiegł z domostwa.

Szedł i szedł. Daremnie nań paluszką stuknęła w szybę Maryjka — nie słyszał. Nie mógłby odpowiedzieć na pytanie, czy ziemię ma pod sobą, tem mniej, dokąd idzie? Niosła go burza wewnętrzna, tem gwałtowniejsza, że powstała w człowieku świeżym, silnym i dotąd zawsze szczęśliwym. Wieczerzało już, gdy znalazł się na rynku miasta, ku któremu ciągnęła go zdalna nuta muzyki dziwnie dlań ponętna. Grano tam Rakoczego, marsz



narodowy węgrows. Szandor wsłuchał się w muzykę, „zrobiło mu się ławo, rzewnie a przytem tak, jakby rósł, jakby go coś podnosiło, jakby ten Rakoczy napawał go chlubą, dumą. Ktoś z tłumu krzyknął: elien a Madiar! i Szandor porwał czapkę z głowy, potrząsł nią w powietrzu i powtórzył okrzyk, który podchwycony przez wszystkich znajdujących się na rynku, zabrzmiał grzmotem: — Eljen a Madiar!“

Tego samego wieczoru Szandor zaciągnął się do szeregów narodowego wojska. Nie przyszło mu to bez walki. I nie dziw! krokiem tym kopał przepaść pomiędzy sobą a wszystkim, co mu dotąd drogiem było na ziemi.

Dalej, rycerska droga bohatera powieści, niby strumień wężki wpływa we wzburzone morze wypadków publicznych. W kraju całym boje, jęki, krew, łzy i hasła nienawiści wzajemnych. Jak madiarowie z niemcami, tak serbi walczą z madiarami zacięcie i krwawo. Ofiarą drugiej z walk tych pada Łuka Simicz, powieszony przez władze węgierskie wprzód nim dokonać zdołał zuchwałego kroku zburzenia prochowni. Łuka znosi los swój ze stoickim spokojem duszy czystej a silnej, lecz Janko nienawidzący Szandora, od chwili, w której ujrzał w nim węgrows, a poduszczany przez niemieckiego intryganta i szpiega Memlanera, oznajmia rodzinie swej, że denuncjatorem Łuki i sprawcą tragicznej śmierci jego był Szandor. To też, gdy wojak węgrowski po wielu przebytych trudach i niebezpieczeństwach przybywa z wojskiem swem do rodzinnego miasta, przybrani rodzice jego odtrącają go ze wstrętem i wżgardą, ojciec rzuca mu pod nogi pieniądz będący jego dziedzictwem, matka odwraca odeń twarz zbladłą, kochanka nawet nie śmie zbliżyć się do tego, nad którym ciąży wina śmierci jej brata. A chwila ta jest właśnie chwilą klęski i upadku węgrows. Zginęło szczęście całe Szandora i zginęła sprawa, dla której on szczęście to poświęcił. Zrozpaczony, przed odejściem wojsk z Szegiedynu, chce on jeszcze zobaczyć Maryjkę; bądź co bądź wierzy on, że serce to nie przestało uderzać dla niego. W wieczornej porze, w domostwie Simicza gwarno i jasno; Maryjkę zaręczają z Memlanerem, który potrafił sobie zjednać sympatyę i wiarę starszego jej brata. Dziewczę wybiega do mrocznego ogrodu i pada na pierś czekającego na nią kochanka.

„— To nie ty wydałeś Łukę?“

— Nie ja! nie ja!



— Ja wiem, że nie ty! o wiem! ty nie mógłbyś tego zrobić!

Wyciągnęła rękę ukazując dom ojcowski.

— Memlaner jest tam!... tam!... z pierścionkami! z gośćmi! Jak powrócę, to będzie po mnie! ach! ja nieszczęśliwa!

Szandor odpowiedział.

— Nie płacz! nie płacz! chódź!

— Dokąd?“

W czasie rozmowy kochanków, wojska węgierskie wyszły z miasta i przepłynęły się na drugi brzeg rzeki Cissy. Widok ten przywrócił Szandorowi pojęcie położenia w jakim się znalazł. W uchu mu dzwigał wyraz: dezterter! Nie—on musi połączyć się z towarzyszami broni, stanąć pod chorągwią ojczystą. Z kim? z Maryjką. Jakim sposobem? Przebywając wpław rzekę, której brzeg obstawily już nieprzyjacielskie wojska. Młody rycerz wsiada na koń z kochanką w ramionach, rzuca się w wodę, płynie ku przeciwnemu brzegowi. Naprzeciw goreje szeroki pożar zapalonego zamczyska; nad głową jego, wśród łun pożarnych przeryzujących zmrok nocny, przelatują kul roje. Płynię, a raczej płyną. Maryjki ramiona silnie obejmują kochanka. Nie bój się! szepce Szandor i od kul osłania ją piersią swą, rękami.

— Szandor! szepce dziewczyna.

Nie odpowiedział i zachwiał się na siodle. Jedna z kul trafiła. Koń spał się, piersi wysadził z wody jakby chciał z niej wyskoczyć, i w tej chwili przez grzbiet jego zwałił się Szandor, trzymając Maryjkę w objęciach. „W tem miejscu Cissy, kończy autor, gdzie wpada Marosz, łącząc z nią wirowym sposobem wody swoje, coś zaszarzało i znikło,... znów zaszarzało, zakręciło się i znów znikło... i nie pokazało się więcej...“

Taka jest osnowa główna tej prześlicznej powieści.

Sprawozdanie to przecież w przybliżeniu nawet pojęcia dać nie może o wielkiej jej piękności. Sytuacja będąca pierwszym zawiązkiem powieści jest tu potężnie dramatyczną. Scierają się w niej najgłębsze i najnaturalniejsze uczucia serca ludzkiego. Namiętności przeciwstawione są namiętnościom, a z walki tej i zrodzonych nią bólów wytryska pojęcie tych tajemniczych węzłów, które łączą człowieka z ojczystą ziemią jego, tych władz niepojętych, które grają mu po sercu rodzinnymi widokami, pieśniami, skazkami a w sumieniu mu wywołują nakazujący rozkaz obowiązku. Ideę tę autor wyraża prostemi, lecz jakże prawdzi-



wemi wyrazy: „Człowiek do wszystkiego swego ma jakoweś głębokie przywiązanie, które gdy mu odejmiesz, traci naprzód szacunek dla samego siebie, a następnie dla wszystkich i wszystkiego i szacunek ten siebie i innych zastępuje egoizmem, tem uczuciem, które brudzi charakter, poniża naturę człowieka.“ Krótkie lecz głębokie określenie to tłumaczy jasno upadki moralne ludów tułaczyh i ludzi, którym wyrwano z łona najpyszniejszy klejnot uczuć ludzkich...

Co do artystycznej strony powieści, ta przedstawia nieprzerwany łańcuch obrazów wdzięcznych lub wspaniałych, wesołych lub grozy pełnych, lecz malowanych zawsze z bogactwem barw niezmiernem i wielką umiejętnością pędzla. Intrygi, sztucznych powikłań akcji, jak we wszystkich powieściach Jeża, powiedzmy też, jak w powieściach wszystkich powieściopisarzy-myślicieli, niema tu prawie. Interes cały spoczywa w dramatyczności różnych momentów, akcji i rozwijaniu się charakterów, a przecież żywym być nie przestaje ani na chwilę. Z główną osnową łączą się w powieści tej epizody uboczne, podkładające pod nią tło szerokie i rozszerzające jej znaczenie. Za głównymi postaciami występują postacie drugo i trzecio rzędne, z niemniejszą przecież od pierwszych starannością wyrzeźbione. Szpieg i intrygant niemiecki Memlaner, wachmistrz huzarski i cygan grajek, są istnemi posągami zadowolnionej z siebie podłości, pociesznego formalizmu wojskowego i dzikiej poezji. Oto w jaki sposób Memlaner cieszy się korzyściami spodziewanemi od śmierci Łuki Simicza, której on właśnie istotnym był sprawcą. „Stał on na balkonie domu swego i zdawał się pogrążonym w głębokiem dumaniu. Wschodzące słońce wytoczyło się na horyzont i zakręlowało ciszy i spokojowi przyrody. Cissa płynęła, połyskując się powierzchnią, na której plusnęła niekiedy rybka wyskakująca za muszką i pluskiem przerywała uroczystość ciszy jesiennego poranku. Wśród tej ciszy odezwał się dzwon, którego głos towarzyszył pochodowi orszaku, odprowadzającego Łukę na śmierć... Memlaner stał i słuchał... Przez cały czas powolnego dzwonięcia postać jego nie ruszyła się z miejsca, jakby zastygła posagową nieruchomością. Na twarzy jego panował wyraz zasluchania się, lecz po za tym wyrazem przesuwiał się niekiedy cień trwogi lub niespokoju. Dzwonienie ustało; Memlaner machnął ręką i zawołał: Stało się! I wszedłszy do izby, zaczął szybko chodzić z końca w koniec. A im dłużej chodził, tem twarz jego przybierała wyraz radośniejszy. Uśmiech rozciągał mu usta, rozjaśniał oczy. Cho-



dził i znać zmęczywszy się, rzucił się na kanapę, rozwalił się całym ciałem, a podnosząc ręce i wzrok do góry, z radością i zachwyceniem w oczach, wydeklamował powoli następujące trzy wyrazy:

Wirklicher..., gehejme... Rath!..

Zgłoski i litery trzech tych wyrazów grały, dźwięczały i dla ucha Memlanera składały cudną harmonię. Memlaner słuchał w zachwyceniu, wsłuchiwał się w tony przywiane mu z innego jakiegoś świata i lubował się w nich, uśmiechał. A nie były to tony wydarte podzwonnemu, które żegnało konającego na stryczku Łukę,..."

Cygan grajek stoi u samego wstępu opowiadania i znajduje się w ostatnim jego obrazie. Niepodobnaby było u wrót i wyjścia dramatycznej powieści umieścić bardziej poetyczną postać. Można by rzec, że burza jakaś przywiała ją tu z jakichś stepów dzikich, aby fantastycznym płomieniem przyozdobić dekoracją dramatu. Na pierwszej stronnicy powieści cygan zebrany tanecznikiem wygrywa czardasza: „Od razu poznać w nim cygana, bo śniady i czarnowłosy i ma w twarzy ten wyraz, na poły złośliwy i łagodny, na poły zuchwały i pokorny, który cechuje cyganów. Smyczkiem swoim wodzi on po strunach a serca ludzkie drżą, jakby mu się podstawiały pod smyczek. Snadź rozumie to cygan, bo jakoś hardo i butnie wygląda. Oparł od niechcenia skrzypce o piersi i od niechcenia przebiera palcami po strunach, i lata po nich smyczkiem, i zdaje się, że to nie on gra, ale instrument sam przez się wydaje tony, śpiewa niby ptak, który zamiast na gałęzi, usiadł na piersi cygana. Czarne, gęste włosy, połyskujące jak pióra krucze, lecz wcale niestarannie utrzymywane, rozpadają się beładnie po głowie i czole; czoło podniesione, oczy błędzą gdzieś po horyzoncie niebieskim, noga prawa wyciągniona naprzód znaczy takt podnoszeniem i opuszczaniem stopy...”

A straszego wieczora owego, w którym płonął Szegedyński zamek, działa grzmiały a huzar madiar dążył przez wodę ku chorągwi swej z serbką kochanką, cygan który grał niegdyś do tańca zaręczającej się parze tej, stanął świadkiem ostatniej chwili jej życia: „Z trzęsawisk, z za grubego pnia wierzby, wyglądał cygan. Z bezpiecznego tego ukrycia, od czasu, w którym pierwszy wystrzał zwiastował początek bitwy, przypatrywał się on obrazowi zniszczenia. Długo siedział spokojnie i w milczeniu. Czarne jego oko świeciło w cieniu niby wilcze, błakając się po rozlanej fali płomienia, lub ścigając rozwijające się kłęby



dymu i niknące pod niebem iskry. Ten dziki obraz odbijał się śpiewem w duszy cygana, i on z pewnem drżeniem natchnienia czy zachwytu, patrzył na bój i pożogę i słuchał tajemnej harmonii, która w jego duszy pełnemi grała akordami... Ze stanu tego wyrwało go nagłe pluśnięcie. Cygan zerwał się, popatrzył na pozłożoną powierzchnię Cissy i ujrzał wynurzających się nad nią Szandora, Maryjkę i łeb karego. Serce jego zabiło mocnem tentnem, oczy zapłonęły silnym blaskiem; przy oświetleniu pożogi stanął na brzegu i wyciągnął ręce, jakby Szandora, Maryjkę i karego chciał zwabić ku sobie...“

Powieścią tą T. T. Jeź rozpoczął szereg utworów swych z tłem historycznym, a dodać należy, że rozpoczął go arcydziełem powieściopisarskiej sztuki.

Historya pra-pra-pra-wnuka, rozpoczynająca szereg społecznych powieści autora, mniej łatwą jest do ocenienia dla krytyki a do zrozumienia dla szerokiej publiczności trudniejszą. Trudność ta pochodzi ztąd głównie, że w powieści tej związek dramatyczny nie rzuca się tak jak w tamtej w oczy i wprost do serca czytelnika. Istnieje on przecież, jest nawet subtelnie wynalezionym i głęboko pomyślanym; dlaczego zaś mniej wyraźnie staje przed wyobraźnią i myślą i mniej silne sprawia wrażenie, zobaczymy to po wywikłaniu go z następującej treści utworu.

Spółczeństwo usypia snem rozkosznym dla zmysłów, zgubnym dla ducha. Nikt ze śpiących nie czuje, że łożem jego jest wulkan okryty różami, i że róże te oblane są łzami i potem tych, co za śpiących i na śpiących pracują. U spodu społeczeństwa poddaństwo, upokorzenie, znój krwawy—w górze, pycha, używanie, zastygłość w formach bezmyślnych. Tu i owdzie w mrokach i sennej ciszy, połyskują fałszywe światełka i brzmia fałszywe hasła: sentymentalizmu udającego miłość dla rzeczy wielkich, dobrych instyktów nie oświeconych rozumną myślą, zrywania się do ofiar bezpłodnych, bo źle podjętych. Na tle tem smutnem, dla przyszłości groźnem, maluje się wioska ukraińska Hryneńki, istny raj cnoty, sprawiedliwości, pracy i pokoju.

Raik ten i zarazem ta pracownia były własnością Ksawerego Jeża, Chorążego, który był jednym z tych typów, które świecą jeszcze gdzieniegdzie (1860 r.) jak brylanty pierwszej wody pomiędzy prostemi kamykami. Był on pozostałością epoki z końca XVIII wieku, kościuszkowskim żołnierzem. „Znałem, mówi autor, kilku szlachciców z epoki tej, przed któ-



rymi jak przed świętymi pochylano głowy.“ Jednym ze świętych takich był Chorąży. Krzywy stosunek pomiędzy włościaninem a panem, chłopem a szlachcicem, wyprostował się w dłoń jego sprawiedliwej, kochającej i czynnej. Znikły zeń przemoc, cierpienie, pycha i ciemnota, a zastąpiły je równość wobec prawa i pracy, oświata i miłość wzajemna.

Rodzinę Chorążego składały dwie tylko istoty: podeszła w wieku siostra i mały syn. Sprawiedliwy ów postanowił syna wychować dla ideałów, które w piersi swej nosił a któremi były: miłość dla kraju, sprawiedliwość dla wszystkich, surowość obyczaju, niezmordowana pracowitość, gotowość i należyte przysposobienie się do ofiar i choćby męczeństwa za umiłowane idee. Ideały to piękne, najpiękniejsze zapewne ze wszystkich, które podnoszą i rozgrzewają łono ludzkości. Lecz jakież koleje, jakie walki i cierpienia spotkać muszą człowieka, który z wiarą w ideały takie, z miłością dla nich, z niezmierną żądzą urzeczywistnienia ich, wstąpi w społeczeństwo senne, leniwe, rozpieszczone, trwożące się przed zmianą każdą, przed wszelkim cieniem czynu lub ofiary?

Koleje te musiały być smutne i samotne, cierpienia i walki ciężkie. Młody Jan, syn Chorążego, wychowany na człowieka dealnego, surowego dla siebie, lecz nie mniej w imię ideałów swych wymagającego od innych, samotnie błąka się w mroka ch, spotykając wśród nich tu i owdzie fałszywe tylko blaski i hasła. Wcieleniem sentymentalizmu udającego miłość dla rzeczy wielkich i według przysłowia zasypującego oczy ludzkie piaskiem brzmiających, czulostkowatych frazesów, jest występujący w powieści Józef Ambroży Poroński, fałszywy literat, tak jak fałszywy patriota, pyszałek od stóp do głowy, okryty pokostem podwójnym: tłuszczem dobrze wykarmionego ciała i oliwą wiecznego namaszczenia. Dobre instynkta, tak zwane złote serce i najlepsze chęci nie oświecone rozumną myślą i nie wsparte mężkim hartem charakteru, przedstawia sobą młody marszałek Albin. Umysł istotnie wzniosły i ukształcony, serce gorące, zapał dla wszystkiego co dobre i piękne, gotowość do ofiar, zamieszkuje w pannie Zofii Otockiej i przepadają marnie, bo poświęcając się dla ukochanej przez się sprawy, niepospolita kobieta ta poświęca się na fałszywej drodze.

Pomiędzy trzema postaciami temi a bohaterem powieści Janem Jeżem zachodzą kolizye różnej natury, na których polega głównie interes drugiej połowy powieści. Szczera jego, silna męzka miłość dla spraw ogólnych spotyka się tu z sentymenta-



lizmem i obłudą Porońskiego, z dobrymi intencjami Albina, które pod wpływem uspienia myśli i rozpieszczenia ciała przerabiają się zwolna na sybarytyzm zmysłowy, zlekka zaprawny estetycznemi i obywatelskimi pozorami. W pannie Zofii nakoniec zapal i surowość moralnych pojęć jego znajdują odgłos wierny; lecz gdy marzeniem sięga on po serce jej, myślą po moralną jej pomoc, odtrąca go ona ze łzami i smutkiem, bo myśli, że zostając żoną bogatego Albina, czyli poświęcając się, będzie mogła stać się użyteczną sprawie oświaty i moralności ogólnej. Osamotniony tedy, z różnych przyczyn, lecz przez wszystkich niezrozumiany i odtrącony, Jan Jeż bóle i zawody swe z cichą rozpaczą, powierza mogile ojcowskiej i opuszcza dom rodzinny, aby wśród szerokiego świata szukać możliwości czynu lub męczeństwa.

Takim jest skielet sam powieści tej obszernej, zawierający w sobie mnóstwo ubocznych epizodów i postaci.

Z treści tej poznajemy z łatwością, że dramatyczny zawiązek utworu spoczywa tu w sytuacji człowieka, który uczuciami i myślą o całe niebo wybujał nad otoczenie swe a zetknąć się z niem musi koniecznie przez siłę rzeczy i wolę własną rozkazujące mu pełnić obowiązek. Sytuacja ta różni się z temi, które stanowią zawiązki ogromnej większości powieściowych tworów, przez to, że w niej, zamiast starcia się sprzecznych z sobą usposobień dwóch pojedynczych jednostek, albo sprzecznych z sobą władz ducha zawartych w łonie jednostki jednej, ścierają się usposobienia pojedynczego człowieka z usposobieniami ogółu, do którego należy on urodzeniem, ukochaniem i obowiązkiem. Przeciwwstawienie to człowieka jednemu wielkiemu ogółowi stanowi siłę i słabość sytuacji. Siła jej polega na ważności i powadze walki, słabość spoczywa w niebezpieczeństwie utopienia kolei i walk jednostki w szerokim obrazie przeciwstawianego jej ogółu. Jednostka walczy i cierpi, ogół nie walczy i nie cierpi ale tylko stawia usiłowaniom jednostki opór bierny i zbiorową siłą swą niezłomny. Skoro więc tylko szala powieściowej równowagi przychyli się w wypadku podobnym ku analizowaniu i przedstawianiu pojęć i zjawisk ogółowi właściwych, idea musi wziąć nad dramatem przewagę nieproporcjonalną, a dramat uniewyraźnić się i zesłabnąć.

Niebezpieczeństwa tego autor nie uniknął. W naturze twórczości jego, jak to zbliżka i dowodnie zobaczymy później, istnieje pociąg ku rozwijaniu etycznych pojęć tak silny, że aż przytłumiający niekiedy ogromne jego artystyczne uzdolnienia. Tym



razem sytuacja obrona ciągnęła w szczególny sposób ku pofolgowaniu pociągowi temu. Wobec obrazu ogółu, jako też sposobów jakiemi bohater powieści zdobył sobie nieskończoną nad nim wyższość, przedstawiało się pytań mnóstwo: ząd? jak? dla czego? ku czemu? Autor na wszystkie pytania te w powieści swej odpowiada w sposób gruntowny i wyczerpujący. Przedstawia on przyczyny i następstwa usposobień ogólnych, zarówno jak genezę i stopniowe rozwijanie się usposobień i przeciwstawionej ogółowi jednostki. Ząd długie w powieści tej traktaty filozoficzne, moralne i ekonomiczne, ząd też całotomowy opis wychowania Jana Jeża podobny do udratyzowanej rozprawy pedagogicznej; ząd jeszcze dramat powieści topi się tu i owdzie w przewodniej idei jej i nie z jednostajną wciąż mocą działając na wyobraźnię czytelnika, niedość silnie przemawia do rozumu jego za mieszczącą się w nim idea.

Takiem jest podstawowe chybiecie w wykonaniu utworu tego. Czyliż przeto mamy prawo nazwać utwór cały chybiotnym?

Daleką bardzo jestem od zdania tego, dalekim odeń musi być czytelnik każdy umiejący czuć i myśleć.

Historia pra-pra-wnuka uważaną bywa niekiedy za autobiografią autora, niekiedy też nazywaną powieścią dydaktyczną. O ile pierwsze twierdzenie słusznem być może, do sądzienia o tem podstaw nie posiadam żadnych, i nie udzielają ich nikomu żadne drukowane zwierzenia autora. Twierdzenie więc to zaliczyć należy do rzędu domysłów tych i przypuszczeń, które ścigają zwykle pisarzy głośnych, które sztukę pisarską obchodzą niewiele, lecz których, należałoby, może, w druku przynajmniej, oszczędzić osobistości pisarza. Lecz przeciw dydaktyzmowi powieści tej protestuję jaknajsilniej. Powieść dydaktyczna jest brzydkim i nieużytecznym dziwolągiem; nie miewa ona nic wspólnego z artystyzmem, a etyczna jej strona w niewłaściwą sobie formę ujęta sprawia na czytelniku jedno wylądne wrażenie — nudy. Historia pra-pra-wnuka zaś, posiadając jako punkt wyjścia pomysł świetnie i głąboko dramatyczny, usianą jest niby perłami i dyaamentami mnóstwem artystycznych momentów wysokiej piękności, a filozoficzne wyniki, do których doprowadza ona umysł czytelnika, nietylko że nie wprawiają go w senliwość znużenia, lecz owszem rozbudzają mu dzielnie czucie i myśl, wiodąc jedno i drugą ku wysokim szczytom. Rzeźba postaci wszystkich bez wyjątku, jest tu doskonałości skończonej. Ojciec bohatera, Chorąży, mie-



wa w powieści momenty takie, w których czytelnik uczuwa ochotę istną zgięcia kolan przed tym: „świętym“ z ostatniej doby narodowego życia. Pięknym on jest gdy, w izbie cichego dworku swego, w wytartym kuntuszu siedząc, naucza małego syna dziejów ojczystych. „Pyzaty, osmalony, boso Jaś, wsparłszy się łokciami na stole lub kolanach ojca i przekładający nogę na nogę, z wpółotwartemi usty, z rozplomioną twarzyczką, z wlepionym w oblicze starca wzrokiem, łowił każdy wyraz wychodzący z ust tego ostatniego; i wzdychał, i serce dziecinne coraz mocniej i szybciej tętniło. Starzec był spokojny i pogodny. Panna Ewa (stara siostra Chorążego) robiła pończochę, zażywała tabaczkę, milczała, i za każdym mocniejszym westchnieniem Jasia, spoglądała na niego z uśmiechem, w którym przebijał się wyraz rzewnej miłości i niekiedy po uśmiechu następowało ciche westchnienie.“...

„Ileż to razy zakasawszy poły od kontusza, Chorąży pług w bruzdzie prowadził... albo w hajdawerach i koszuli szedł na czele kosarzy, a białe włosy starca zlewające się w jedno z białą koszulą, wiały niby sztandar przewodni i dziwnie harmonizowały z ciachaniem kos.“

Z posągowej tej, wspaniałej, w niezłomnej cnocie i przedziwnej prostocie swej postaci Chorążego, przenieśmy wzrok na pulchną, miodową, wypokostowaną olejem namaszczenia figurkę quasi-patryoty i quasi-myśliciela — Porońskiego. Na ganku wiejskiego dworku do którego tylko co przybył, stoi on z dwoma szlachcicami zamasyżcie ściskającemi się na powitanie, i najprzód wynurza szlachcicom wdzięczność swą za to — że się tak zamasyżcie ściskają.

— Dzięki wam panowie!... Dzięki wam za to wzruszenie. Zelektryzowało mię ono... Łzy pocisnęły się mi z powieki?

I pyta.

— Muszę mieć łzy w oczach?

Potem rozglądając się dokoła, deklamować zaczyna :

— Ta stara strzecha szlachecka... to obszerne podwórze... ta pochyłona stajenka... ten płot z rozwieszoną bielizną... ten przełaz, a taki nasz przełaz!...

Tu wzruszenie zatamowało mu mowę na chwilę. Lecz wnet rozpoczął na nowo poetyczny inwentarz *naszych* rzeczy.

— Ta klasyczna na podwórku lipa, taka Czarnoleska... te widne ztąd chatki pocziwych naszych chłopków... ten staw ogłaszający się szumiącym młynem i ciemnozielony las, łany



zboża, i napróchniały krzyż... i cierkiewka, i karczemka i wszystko... ach! panie, a na tle tego sielskiego obrazu, pan dobrodziej, w objęciach zacnego i szanownego Marszałka!..

Czy z krótkiej mowy tej znamy już Porońskiego? Tak znamy go wybornie, jak gdybyśmy z nim dziesiątki lat żyli; przenikamy nawskróś głowę tę napchaną zamiast mózgiem czułościowymi frazesami; wiemy, że trud wszelki, walka, wysilenie, muszą w człowieku tym śmiertelnego znajdować wroga, bo gwoli pulchności policzków swych i niewzruszalności kapłańskiego stanowiska, jakie zajął w społeczeństwie, wymaga on od ludzi biernego spokoju i owczego chodzenia po utartych szlakach. „Rezygnacy! woła on wciąż, rezygnacy! pokory i wiary w Opatrzność! Opatrzność sama zrobi co będzie do zrobienia, a wy szanujcie tylko te nasze rozwalone stajenki, *nasze* stare przełazy, *nasze* spróchniałe krzyże i *nasze* powitalne uściski na gankach *naszych* dworców! Miłość wasza niech będzie „spokojnem uczuciem jak strumyk płynącym wśród kwiatków, badylków, a broń Boże nie zmieniającem nigdy swego korytka!“ Sens w tem taki, że gdy zmieni się korytko uczuć i myśli społecznych, zająć muszą zmiany od których materyalnie i moralnie schudną Porońscy. Niech więc wszystko zmarnieje, zgnije i zamrze z braku żywotnych soków, lecz niech Porońscy tyją i królują. Lecz jakże podtrzymać królowanie swe oparte na zastoju powszechnym?—Oszukując potrzebę serc ludzkich przez podstawienie im ckliwego sentymentalizmu miasto miłości. Na jaką wędkę łowić szacunek i zaufanie ludzkie?—Na wędkę frazesów imponujących ubogim w duchu. Któż z nas nie znał, nie zna Porońskich takich! Józef Ambrozy Poroński, śmiało rzec można, jest mistrzowsko zrozumianym i przedstawionym typem świętoszkostwa politycznego. Pyszna to postać — taka jaką tylko artysta-myśliciel stworzyć może.

To też pocziwy Albin, człek z sercem najlepszym i najlepszymi intencjami wypchanym, zasłuchawszy się w krasomówstwie Porońskiego, siada w bogatym i wygodnym dworze swym jak u Pana Boga za piecem, skupuje książki dla tego, aby ich nie czytać, sprasza sąsiadów dla tego, aby ich okarmiać; sam też okarmia się, tyje; a gdy bohater powieści wyrzuca mu zbyt częste oddawanie się przyjemnościom gastronomicznym, z najpocziwszą w świecie urazą odpowiada.

— Ależ mój Jasiu, toć to przecie nasz barszczyk i nasz kapuśniaczek!



Zmęźnić i rozgrzać naturę tę dobrą, lecz bierną i zniewiesziałą nie może nawet żona Albina Zofia, kobieta—jedna z miliona. Postać to subtelnie pomyślana i na wskrós artystyczna. Szlachetna, smutna smutkami nie swemi, z sercem zapalnym i wykształconym umysłem, posiada ona w powieści pozór Muzy natchnionej, wiotkiej, jasnowłosej a tak delikatnej, że przez alabastrową skórę jej twarzy przeglądają błękitne nitki żyłek. Istota to uduchowniona do stopnia tak wysokiego, że czytelnik obawia się, aby lada chwilę nie skruszyło się kryształowe naczynie rozpierane przez ognistą tę duszę. Ona i Jan Jeż spotykają się ze sobą jak wyjątkowa kobieta z wyjątkowym mężczyzną. Potężne siły ciągną ich ku sobie. Rażem, we dwoje, trzymają przeciw wszystkim. Zdaje się też, że kochają się wzajem; a jeżeli nie kochają się jeszcze, to z pewnością kochaćby się mogli, gdyby raz połączyli dłonie i powiedzieli sobie, że do siebie należą. Do tego przecież nie przychodzi. Spotykają się wciąż ze sobą i rozchodzą się, a za każdym spotkaniem odnawia się rozmowa, którą ostatnie rozstanie przerwało. Rozmowa ta dwojga pięknych i wzniosłych ludzi o rzeczach pięknych i wzniosłych, w które oni oba swe serca jak w płomień rzucili, urywająca się wciąż i nawiązująca znowu, ażeby znowu urwać się i zawiązać, snuje się wśród rozlicznych scen i obrazów powieści niby nić złota, zaczepiona kędyś u idealnego wątką. Szczegół to powieści wysoce artystyczny i oryginalny zupełnie. Ostatecznie, Zofia zostaje żoną Albina i wraz po zamążpójściu swem bierze się do wymarzonego dzieła. Dom jej zamienia się na muzeum pełne źródeł oświaty. Żąda ona, aby był on akademią, w którejby wzmocniały się serca i oświecały umysły jej spółobywateli. Niestety! współobywatela zjeżdżają się, lecz nie dla czerpania mocy i oświaty z jej akademii, tylko dla zjadania *naszych* barszczyków i kapuśniaków, które ofiaruje im mąż jej. Zofia niepokoi się zrazu, lecz długo jeszcze nie traci nadziei. Nakoniec, w tej samej prawie chwili, gdy Jan po wielu nadaremnych próbach urzeczywistnienia ideałów swych, w smutku cichym lecz ciężkim klęka na mogile ojca i przyciska do niej czoło „jak gdyby wzrokiem nawskrós ziemi, aż do ojcowskiego trupa chciał przeniknąć“, Zofia spostrzega także, iż do wielkich celów swych szła fałszywą drogą, że głos jej jak po pustyni rozchodzi się bez echa, a mąż jej wcale złym jest spółnikiem w dziele prowadzenia akademii społecznej. Pomiedzy dwojgiem młodych ludzi rozmowa zawiązuje się raz jeszcze. W chwili, w której Albin ukazuje się w postaci ostatecznie znie-



dołączniałego człowieka, zdolnego czuć trwożę tylko o byt i dobrobyt własny, Jan ukazuje Zofii męża jej, mówiąc: „Widzisz Zofjo! oto twój człowiek najlepszych intencji!”

Możnaby jeszcze wiele powiedzieć o epizodach powieści tej przedstawiających ówczesne życie uniwersyteckie, o koledze Jana, Karolu, postaci z werwą i plastyką nieporównaną przedstawiającej zmarnowane w rozpuszcie zdolności i siły młodzieńcze; możnaby długo i ze łzą w oku popatrzeć na pewną Ewę, która, jakkolwiek niezamężna lecz godna tytułu matrony, pierwszą jest dla Jasia mistrzynią miłości, cichym jest opatrzny i pracowitym duchem szlacheckiej zagrody, która po nadziejach swych dziewiczych i wielu, wielu jeszcze rzeczach tyle łez wylała, że idąc za trumną brata płakać już nie może, tylko na zbladłym i zmiętym obliczu niesie pogodę rezygnacyi i spokój cierpliwy. Możnaby też jeszcze, przyglądając się zblizka tej obszernej i urozmaiconej powieści zachwycić się Jerynką, wiejską dziewczyną, gdy w tajemnicy i od kolebki prawie kochając panicza — Jasia, żegna go ona wyjeżdżającego z domu, na kołowrocie wioski siedząc; a potem... kiedy on smutny w mogiłę ojca wzrok zapuścić pragnie i przed światłem dnia oczy sobie zakrywa, jakby je ono raziło, smuci się z nim razem i szepce: „Sokole mój! jakżebym ja pragnęła wyleczyć wszystkie twoje bóle!”—Moglibyśmy jeszcze przesunąć przed wyobraźnią wiele z powieści tej obrazów i obrazków, z których w każdym drga i iskrzy się życie przyrody i ludzi. I z tego przecież, czemuśmy się przypatrzyli w dokonanym już przeglądzie osądzić możemy, że *Historya pra-pra-pra-wnuka*, pomimo że nie jest arcydziełem od wad wszelkich wolnem, pomimo, że zawiera w sobie rozwlekłości i nieproporcjonalności pewne, uważaną przecież być powinna za utwór piękny, poważny i godny znalezienia się w pierwszych rzędach dzieł powieściopisarstwa naszego. Jestto utwór, nad którym czytelnik myślący i czujący zamyśli się nieraz głęboko, zaboje szczerze i wzniosłe zapragnie, którego sceny i obrazy przywołują mu niekiedy łzę a niekiedy uśmiech, i potem zostaną mu w pamięci tak długo, jak długo tkwić w niej mogą tylko kreacye mistrzów.

(dok. nast.)



# O POWIEŚCIACH T. T. JEŻA

## Z RZUTEM OKA NA POWIEŚĆ WOGÓLE.

STUDYUM.

(Ciąg dalszy. Zob. zeszyt 97 i 98.)

### II.

T. T. Jeż, jak każdy pisarz piszący wiele, napisał pewną ilość utworów, któreby można nazwać typowemi, bo mieszczą w sobie wszystkie cechy główne, wszystkie główne potęgi i słabości, które właściwemi będąc naturze wielkiego tego talentu, trwale znaczą długi i pracowity pochodz jego. Powieści Szandor Kowacz i Hist. pra-pra-wnuka są co do czasu pierwszemi z typowych utworów tych, i dla tego też nietylko dla samej wysokiej ich wartości, zatrzymaliśmy się nad nimi długo, dokonaliśmy streszczenia ich i rozbioru. Ze wszystkiemi typowemi utworami Jeża, ze względu na znaczną ich ilość, w podobny sposób obejść się nie możemy. Dla bliższego więc i gruntownego zapoznania się z istotą treści ich i wartością formy, rozejrzeć musimy zbliska i gruntownie, etyczne i artystyczne dążności i zdolności autora. Zaczynając od strony etycznej, zaczynamy zarazem pytaniem: jakie i jakiej ważności moralne i umysłowe pojęcia znajdują się w utworach Jeża i w jakim stopniu bogactwa, czyli różnorodności znajdują się tam one? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy najłatwiej w zbadaniu natury tych sytuacji dramatycznych, z których najczęściej wywiązują się powieści autora. Otóż sytuacje te przedstawiają nam niezmiennie pra-



wie; albo: starcia się dwóch wrogich sobie ludów, z których jeden przedstawia przemoc fizycznej siły, a drugi cierpienia bezbronnej słabości; (Szandor Kowacz, Uskoki, Zarnica, Narzeczona Karambaszy, Z ciężkich dni,) albo; starcie się dwóch grup społecznych spowodowane niesprawiedliwością ustawy, krzywością wyobrażeń i zepsuciem obyczajów, (Handzia Zahornicka, Historia pra-pra-pra-dziada, Szewskie dziecko,) albo: starcie się jednostki z ogółem, który dla różnorodnych tkwiących w nim niedostatków, zaspokoić nie może słusznych żądań serc jej czy umysłu. (Historia pra-pra-wnuka, Dwór w Chrustowie, Lindora, Emancypowana, Uroczą). Z przeważnego pociągu twórczości autora do sytuacji powyższych, z łatwością odgadujemy w umyśle jego głęboką znajomość najważniejszych spraw i zagadnień ludzkości. Znajomość ta wyniknąć mogła tylko ze zgromadzenia wielkiego zasobu wiedzy; to też T. T. Jeż należy do rzędu niezbyt licznych powieściopisarzy, którym przystoi tytuł uczonych. Dzieła jego przenika na wskroś szerokie poznanie się ze wszystkimi głównymi wynikami dotychczasowej wiedzy ludzkiej; lecz uczoneść jego rozwija się specjalnie i najplodniej na gruncie historyzofii. Doskonała znajomość dziejów ludzkości i filozoficzny na nie pogląd, dały mu w dłoń ów klucz magiczny, za pomocą którego otwiera on sobie na oścież istną skarbnicę sytuacji, któreby bez nich niedostrzeżonemi lub niezrozumianemi zostać musiały. Sezama ludzkich cierpień i kolei otwiera się przed nim dzięki zaklęciu braterstwa, jakim spoił on myśl swą z ogólną ludzką myślą. To też w utworach jego znajdujemy długą i wielce urozmaiconą grę różnych pojęć moralnych; pomiędzy nimi przecież są takie, które zdają się posiadać szczególną jego miłość, a dla tego może, iż w nich bardziej upatruje on czynniki mogące udoskonalić i uszczęśliwić ludzkość wogóle, a ojczysty kraj jego w szczególności. Predylekcyą taką T. T. Jeż objawia przedewszystkiem dla idei sprawiedliwości. Z poczucia i zrozumienia niesprawiedliwości dziejowych powstały wszystkie utwory jego snute na tle dziejów Słowiańszczyzny południowej i te, w których przedstawił on dawny stosunek ludu polskiego do klasy uprzywilejowanej. Południowe ludy słowiańskie, dzieje ich minione i terażniejsze, plemienne ich charaktery, aż do języków, któremi posługuje się każdy z nich i do najdrobniejszych szczegółów obyczajów ich publicznych i domowych, zna on tak, jakby mu one rodzinnymi były. Tragiczny los zrzadzony ludom tym przez podbój i panowanie



tureckie, jako wielostronne i okrutne pogwałcenie sprawiedliwości, nasuwa mu pod pióro mnóstwo scen, obrazów i typów, przeniknionych na wskroś świętem oburzeniem i głęboką litością. Uczucia te wzbierają niekiedy w duchu jego z taką potęgą, że pod ich wpływem kreśli on arcydzieła takie jak Szandor Kowacz i Uskoki; co daje niejako dowód, że pojęciami udzielającymi mu natchnień najpotężniejszych, natchnień takich, z których treść i forma z jednostajną powstają mocą i w najdoskonalszej łączą się harmonii — są idee polityczne, odnoszące się do upadków, męczeństw i występków całych narodów.

Można więc powiedzieć, że idea sprawiedliwości jest główną osią, około której obraca się myślowa praca autora. Ażebym jednak wymaganiom ideału mogło stać się zadość, ażeby ideał ten po wszystkie czasy tak srodze zapoznawany mógł znaleźć godnych siebie obrońców i pracowników, należy wskazać prowadzącą do celu tego, najwłaściwszą drogę. Jeż drogę tę widzi w wychowaniu i kształceniu młodych pokoleń takim, któreby chroniło je od zniewieściałości, marzycielstwa, samolubstwa i obłudy. Sprawy wychowania zajmują go żywo; poświęcił on im wiele kart wszystkich prawie powieści swych społecznych i niektórych historycznych, stawiając zawsze we względzie tym jako postulat konieczny: męską surowość obyczaju, duch obywatelskości oparty na umiłowaniu spraw ogólnych czynnem, a nawet ofiarnem, i — zaprowadzenie harmonii pomiędzy dwoma naczelnymi władzami ducha ludzkiego: uczuciem i rozumem.

Surowość obyczajów jest jedną z cnót najbardziej przez Jeżę umiłowanych. Umiłowanie to zaznaczyć należy, gdyż jest ono cechą najsilniej zarysowującą indywidualność autora, cechą bardzo oryginalną. Żaden ze znanych mi powieściopisarzy naszych i zagranicznych nie położył w dziełach swych tak energicznego nacisku na potrzebę oczyszczenia obyczajów i zmęczenia nawyknień ogólnych. Wszystkie w twórcach jego dodatnie charaktery zawierają w sobie dziewiczą, niemal czystość obyczaju i jakąś powagę myśli i przyzwyczajień, która przypomina stoików starożytności. Takimi są chorąży w Hist. pra-pra-wnuka, Michał Korecki w Uroczej, Krzysztof Orchowski w Szewckiem dziecku; są w historycznych powieściach jego wszyscy obrońcy i męczennicy pogwałconej sprawiedliwości: Miłosz Widulicz w Uskokach, Lisowski w Historii pra-pra-dziada, Maciej Małuski i Józef Łączyński z powieści Z ciężkich dni; takimi są nawet wszystkie dodatnie postacie kobiece: panna Ewa i Zofia w pra-



pra-wnuku, Uroczą w powieści tegoż tytułu, p. Wolska w Hist. pra-pra-Dziada, Luba Widuliczowa w Uskokach, doktorowa w Zarnicy itd. Nadaremnie szukalibyśmy w utworach Jeża cnoty łzawej, deklamującej i biernej. Cnotliwi mężczyźni jego nie płaczą nigdy, chyba jedną łzą jakąś wyciśniętą bólem nad siły i wnet ukrytą; kobiety cnotliwe płaczą wprawdzie niekiedy, ale rzadko, i w płaczu tym, jak w Luby Widuliczowej patrzącej zdala na męża wbitego na pal, albo Jerynki szukającej po polu bitwy trupa kochanka, — czuć energią ciała i ducha. Słuchając płaczu tego, czujemy, że to tylko wybuch chwilowy, ciosem ogromnym złamanej natury ludzkiej, ale że płacz ten na stronnicach następnych powtarzać się nie będzie w nieskończoność, bo ustąpi przed czynem mężnej woli lub spokojem rozumnej rezygnacji. Zarówno jak fontanną słów krasomówczych nie bywa cnota przedstawiana przez Jeża. Gadatliwymi są u niego obłudnicy tacy, łotry i głupcy, jak Poroński w Pra-pra-wnuku, pan Stefan w Uroczej, Kawaler Bertuczi w Uskokach. Lecz cnotcie prawdziwej wkłada on w usta słowa krótkie i energiczne, tak jak gdyby chciał przez to ukazać, że cnota prawdziwa nie ma czasu na gadulstwo. Nie ma ona czasu na gadulstwo, bo jedną z cech jej koniecznych wedle autora, jedną z podpór, bez których ona zdaniem jego istnieć nie może, jest — praca. Dodatnie postacie jego pracują wszystkie bez wyjątku i pracują nie na żarty, ze znojem ciężkim i zawsze, nieodmiennie z celami wyższymi nad żądzą osobistych korzyści. Domy Chorążego, Koreckiego, Ochowskiego są warsztatami, w których wyrabia się lepsza przyszłość społeczeństwa, ogniskami rozlewającemi dokoła promieniowanie światła i ciepła. Właściciele i naczelnicy domów tych stoją przy warsztatach jak prości wyrobnicy, trudem głowy, serca i rąk własnych rozniecając ogniska. Nie wylewając częstych łez, nie deklamując i nie nurzając się w próżniactwie ozłoconem choćby najestetyczniejszemi pozorami, dodatni bohaterowie Jeża nie mają jeszcze cechy jednej, będącej dla większości powieściopisarzy niezbędną bohaterów takich właściwością — nie są oni kochliwymi, nie palą się cali z ciałami i duszami na ołtarzach różowego bożka. Co prawda, pomiędzy bóstwami wszelkimi, różowy bożek posiada sympatyą autora w stopniu najmniejszym. Owszem, ma go on w ciąglem i — powiedzmy, arcyślusznem podejrzeniu, iż zdobywszy sobie nad sercami ludzkiemi zbyt wielką władzę, może on wszystkie inne bóstwa z serc tych wytrącić i zapanować — w pustce. Bohaterowie jego cno-



tliwi i tacy nawet, którzy kiedyś cnotliwymi zostać mogą, bywają tak mało rozromansowani, że Jeży Korecki np. lata całe przepędza w najściślejszym zbliżeniu z przesłiczną żydówką Uroczą, a ani myśli w niej się zakochać; że Julia w Emancypowanej lata całe zostaje w stosunkach aż nadto poufałych z całym wyborem młodzieży miejscowej, a nie wybiera sobie nikogo za przedmiot westchnień; że Jan Jeż uwielbiając Zofią, pociesza się nad stratą jej rozmyślaniami następnem. „Bo nie w Arkadyi żyjemy: Nie gruchania miłosnych gołębi, nie szczebiotania rozkochanych pasterek głaskać powinny nasz słuch i kołysać do rozkosznych marzeń i — usypiać.“ Kuźma Jeż, (Hist. pra-pra-Dziada) porzuca śliczną kochankę swą, Jerynkę, aby iść na wojaczkę; to samo czyni Szandor Kowacz; a gdy Dżordzi i Miłoszewicz bohater-Uskok. ukrywa się z Anuncyją przed światem i czynem, jest to chwilowe tylko zapomnienie się, po którym ukochana kobieta ustąpić musi przed ideą i obowiązkiem. Surowość ta, z jaką młodzi bohaterowie Jeża znajdują się względem uczuć mających zazwyczaj tak potężne dla młodych serc ponęty, nie sprawia na umyśle czytelnika wrażenia nienaturalności ni umyślnego naciągania. Owszem, surowe te postacie młodzieńcze pełne są prawdy i życia; widzimy jasno, że tak a nie inaczej obchodzić się oni muszą z miłością dla kobiety; bo miłość ta nie jest wyłączną panią serc ich i umysłów, lecz wraz z nią i nad nią mieszczą się i panują idee sprawiedliwości, pracy i ofiary.

„Najpiękniejszą, pisze autor w jednej ze swych powieści, — najpiękniejszą jest cnota, a najpiękniejszym cnoty objawem jest poświęcenie się dla dobra spółbraci. Poświęcić majątek, czas, życie, rozum, dla wszczepienia w ogół szlachetności przekonań, to mi ideał, który wart bohaterstwem zaszczycić! — ale nie idealizowanie jakichś miłostek, salonowych lub alkwianych intryg i artystycznych rojeń... To ostatnie niechby było podszewką dla pierwszego... Ale pomijać pierwsze a podnosić drugie, wydaje mi się tak, jakby kto chciał mię rozśmieszyć — łaskotaniem w pięty, rozoskomić — kwaśnem jabłkiem, lub rozczulić siekaną cebulą.“ Już to do miłostek Jeż ma wstręt formalny, tak jak do wszelkich narkotyków zmysłowego użycia niszczących siły ducha, jak do zbyt kownych ozdób i sprzętów, względem których z taką znajduje się wyniosłą obojętnością, że w wielu miejscach wyznaje, jakoby po imieniu nazwać ich nie umiał, jak do wykintów i rozkoszy gastronomicznych *naszych* kapuśniaczek np.



pocziwego Albina, albo barszczyków z faszerowanemi jajami, któremi słynął głupio-niegodziwy ojciec Julii w Emancypowanej. Nigdy, ani razu nie ukazał on miłości żadnej w złudliwej obłonie poetyczności; nie obchodzi go wcale estetyka i poezya otaczające obraz płochej lub występnej gry zmysłów czy wyobraźni; nie olśniony świetnością ram, nazywa on zawsze obraz ten rozpustą i widzi w nim zawsze zadatek społecznej zguby.

Nie idzie zatem, aby erotycznej struny brakowało całkiem lirze Jeża. Miłość kochanków maluje on często i z potęgą wielką. Dowodem tego są napotykanne w powieściach jego pary rozkochane miłością świeżą, tkliwą i namiętną: Szandor i Maryjka, Kuźma i Jerynka (Hist. pra-pra-Dziada), Dźordzi i Anuncyata (Uskoki), Hanka i Jeży (Narieczona Karambaszy), Krystyna i Prokop Łoboda (Z ciężkich dni). Tylko, że w miłości dla kochanki lub kochanka żadne z serc tych nie spala się na węgiel nieużyteczny, nie przepada dla uczuć i celów innych. Dźordzi Miłosiewicz (Uskoki), tak opowiada mnichowi z którym wędruje, miłość swą dla Anuncyaty.

— Ona jest we mnie, ze mną i nademną. Czuję ją, widzę. Słyszę nad sobą niby szelest jej piór; każdy kwiat uśmiecha się do mnie jej uśmiechem, pachnie jej oddechem. O! ojczel!...

Mnich na to.

— A twoja kraina pod Turkiem!

Gdyby nie moja kraina... Moja kraina idzie przedewszystkiem i ona jej z mojej miłości nic, ani tyle, ile wynosi najdrobniejsza okruszyna pyłku na skrzydło motyla, nie wydarła i nie wydrze. Miłość dla niej wplotła się w miłość dla mojej krainy i to mię tylko męczy, że dwóch tych miłości rozpleść nie mogę!

Mnich odpowiada.

— Nie męcz się daremnie. Jeżeli tamta miłość idzie przodem, to ta może iść za nią!"

Oto wyraz malujący najlepiej wyobrażenie Jeża o miłości kochanków. Posiada ona swoją piękność i swoją racją bytu; może też, musi istnieć, lecz trzeba, żeby nie zasłaniała sobą miłości innych; trzeba nawet, aby miłości inne szły przodem.

Miłość małżeńska zdaje się posiadać w oczach Jeża wyższą wagę w hierarchii uczuć nad miłość kochanków. Czuje on do niej predylekcyą szczególną taką np., jaką Karol Dickens czuł do miłości braterskiej. Idealne małżeństwa jego nie są liczne, ale jakież to małżeństwa! Żona Michała Koreckiego była osłoda jego żywota, aniołem, który stał zawsze obok niego i mówił:



Mężu! ja z tobą! Idź swoją drogą, a chociażby cały świat obrócił się przeciwko tobie, ja będę z tobą... Popędzała go naprzód — uśmiechem; podtrzymywała w trudnych razach — dobrem słowem; pocieszała — pocałunkiem; wynagradzała rajskim spokojem, jaki obok niej znajdował... Jeżeli zbłądził, karą dlań cichą, niemą, był smutek w uśmiechu żony i jakaś dziwna tęsknota w akordach, które zwykle o szarej godzinie z fortepianu wydobywała. Ile razy dostrzegł jedno lub usłyszał drugie, mówił sobie w duchu.

— Oho! coś przeskrobałem!

I robił rachunek sumienia.“

To też gdy kobieta ta umarła, panu Michałowi zdawało się nieraz, że o szarej godzinie słyszy jej grę na fortepianie: granie ciche, echowe, jakby ducha potrącającego klawisze. Pan Michał wiedział, że zlatującym do klawiszów duchem było jego własne wspomnienie... Zawsze jednak o szarej godzinie siadał w salonie i wsłuchiwał się w zagrobowe akordy.“

W Handzi Zahornickiej, Andrij wieśniak, człek niepospolitych zdolności, które nie mogąc rozwijać się normalnie, wprawiały go były za młodu w stan dziwnych, ponurych szalów, przed skonaniem woła żony swej i mówi do niej:

— „Pamiętasz ty Maryno, moje parobcze a swoje dziewicze czasy?“

Maryna zalała się łzami.

„Nazywali mnie ludźmi bisnowatym (szalonym) i palcami mnie wytykali i uciekali odemnie wszyscy... Ja nie wiem dla czegoś i ty nie uciekła... Oni nie wiedzieli, że ja coś nosiłem w głowie i sercu i chciałem dowiedzieć się co to takiego... Nie ich to była wina... jednak, gniewałem się na nich... Jakim to się stało sposobem, żeś ty mnie pogodziła z ludźmi... ty! tak, nie kto inny... tylko ty... przestali odemnie uciekać, nie wytykali mnie palcami...“

Takimi są wyobrażenia Jeża o miłości mężczyzny i kobiety. Żąda on, aby nie zagłuszała ona w ludziach rozumu i uczciwości, aby nie zasłaniała przed ludźmi szerokiego świata... Tej samej harmonii poszukuje on na drogach innych, wśród których spotykają się dwie władze ducha ludzkiego: uczucie i rozum. Poezyą stawia on wysoko, (zobaczywszy zaraz, że sam jest poetą), lecz nie pozwala jej samowładnie panować w duchu ludzkim.

„Mojem przekonaniem jest, pisze, że nie z poezyi czerpią



się prawidła życia!... Poezya w pochodzie społecznym jest tem, co muzyka w pochodzie pułku, co łoskot bębnow w momencie, kiedy kolumna zdwojonym krokiem rzuca się na bagnety... Poezya zagrzewa, unosi, porywa, ale nie prowadzi.“ Cóż więc — który z żywiołów etycznych spełniać ma względem ludzkości czynność wodza, układającego strategiczne plany walk i najlepiej kierującego walkami? Czynnikiem tym jest wedle autora rozum; — myśl oświecona wiedzą a uszlachetniona świadomością i miłością celów wielkich. O pierwszym obudzeniu się rozumnej myśli w głowie jednego z bohaterów swoich, pisze on w sposób następujący: „Pierwszy to raz do głowiny jego zawitała *myśl*, — ta potężna w świecie moralnym siła, ta dźwignia niezłomna, bo ukuta ręką samego Boga. Ważna to chwila — ta najpierwsza chwila świtania myśli. Mnie się zdaje, że od niej zależy cała następna moralność człowieka, że w niej zatliwa się to światło, które, jak ów słup ognisty przewodniczący izraelitom w wędrówce po pustyni, przewodniczy człowiekowi przez całe życie.“

W nadwreżeniu równowagi pomiędzy uczuciem a rozumem, w znihilizowaniu rozumu na korzyść niby uczucia, autor widzi przyczynę najpotworniejszych kalectw i nieszczęść moralnych.

Kobiety dotknięte dewijacją tą, stają się w powieściach jego marzycielkami marnującymi na darmo serca swe i życia, (hrabina Julia w Uroczej) albo wpadają w ekstatyczną religijność i w objęciach mistycyzmu zapominają o istotnych ziemskich swych obowiązkach, (Wojewodzina Jabłonowska w powieści z ciężkich dni) albo bujają po świecie bez hamulca ni celu, sobie na niedolę, ludziom na zgorszenie (Julia w Emancypowanej.) Mężczyźni pozbawieni wsparcia dostarczonego przez rozum i hart woli, pomimo dobrych wrodzonych instynktów, giną dla cnoty wszelkiej. Widzieliśmy w Historii pra-pra-wnuka, Marszałka Albina, człowieka, według przysłowia, poczciwego z kośćcami, którego jednak bierność rozumu i woli doprowadza do ostatecznego kresu zniewieściałości i niedołęztwa. Lecz bierność rozumu i woli prowadzi według Jeża do czegoś gorszego jeszcze. Nie wierzy on w trwałość cnót biernych i instynktowych, które zdaniem jego krok jeden za ledwie rozdziela z występkiem nawet ze zbrodnią. Takim jest np. p. Bonawentura w Uroczej. Pan Bonawentura jest niezłym z natury człowiekiem, lecz niezłość tu jego nie wspiera się na żadnym przekonaniu rozumowem ani na sprężystości woli. Jest on głupcem i niedołęgą! Sam przez się nie popełniłby może zbrodni, — jakkolwiek zaznaczyć należy, iż



występki popełniać musiał w życiu próźniaczem i hulaszczem, w którym zmarnował dwie wielkie fortuny; lecz oto nad głową jego zawisła groźba. Niewieściuch ten i sybaryta utracić miał środki do zbytkownego życia. Ażeby niebezpieczeństwo to oddalić trzeba było dokonać zbrodni. Lecz on sam nie zdobyłby się ani na pomysł jej ani na siłę dokonania. Znalazł się przy nim ktoś kto radę nasunął i do czynu popchnął. I oto niezły głupiec i niedołęga stał się zbrodniarzem. Nic nie może być więcej zgodnem z prawdą jak rozwinięcie się charakteru tego, i więcej konsekwentnem jak ta genealogia zbrodni z matki bierności i ojca próźniactwa. Porucznik w Handzi Zachornickiej jest już człowiekiem nietylko niezłym ale nawet dobrym i szlachetnym, w dodatku, nie jest głupim, ale brak hartu i woli w charakterze, czyni go biernym i lęklwym. Nie popełnia on wprawdzie jak p. Bonawentura zbrodni kodeksowej, ale przez obawę strasznej istotnie żony swej, przez miłość dla świętego spokoju będącego jedną z odmian duchowego sybarytyzmu, pozwala aby przed oczami jego a nawet w imieniu jego popełniano krzyczące niesprawiedliwości i krzywdy. Boleje nad tem — lecz pozwala. „Sędzia Gajewski, pisze o nim autor, należał nie do przeczących lecz do pobłażających uczciwców... Wiedział on, czuł i rozumiał wiele pięknych i dobrych rzeczy, ale cóż z tego, kiedy żona jego nie chciała czuć, rozumieć ani wiedzieć, a on nie miał odwagi postawienia uczciwstwa swego jako czynu.“ To też ile razy jejność rozgadała się—pokręcał on wieko tabakiery swej z najgłośniejszem skrzypieniem, ucierał nos najgrzmotliwiej i tem sprowadzał dywersyą dla burzy małżeńskiej. Gdy burza ucichła umykał do kąta a sprawiedliwości, obowiązkom i t. d. mówił: vogue la galère! Postaci podobnych, męskich i kobiecych, w powieściach Jeża znajduje się wiele. Nie mało też jest takich, które przedstawiają sobą cnoty fałszywe, źle zrozumiane lub też praktykowane obłudnie. Dla fałszywych cnót tych autor ma wzgardę najwyższą. Fałszywy patryotyzm przedstawił w Porońskim, (Hist. pra-pra-wnuka) z fałszywej pracy szydzi, niemiłosiernie, przedstawiając dawnych właścicieli wiejskich spacerem obchodzących pola, stodoły i spichrze. „Czy pracują oni istotnie?“ zapytuje. I odpowiada dowcipnie: „Nie; ostrzą apetyt.“ Fałszywym ofiarom poświęcał całą powieść, której też dał nazwę: Ofiary. Wszyscy tam poświęcają się: żona, która despotycznie panuje nad mężem i, zaniedbując wychowanie dzieci, ma siebie za ofiarę obowiązków małżeńskich i macierzyńskich; mąż, który bo-



jąc się okrutnie swej żony, przez strach ten oddaje młodą córkę w zamęście idyocie; młoda córka zostaje żoną idyoty dla tego, aby głowę swą przyozdobić mitrą księżącą; i wdowa po księciu oddająca rękę miljonowemu eksklokajowi, dla tego aby, nie rozstać się nigdy z bytem, jaki dają miliony. Wszyscy tam poświęcają się ustawicznie, wszyscy stawiają się przed światem w postaci ofiar i wszyscy są zepsutymi do gruntu materialistami i samolubami. Jeden tylko syn rodziny tej nie poświęca się i w roli ofiary nie staje, a z ofiar, które otaczają go dokoła, śmieje się z cynizmem człowieka, który podłości własnej ni cudzej, żadnymi przybranymi pozorami osłaniać nie chce. Chłopak ten, upostaciowanie rozpusty i samolubstwa, dobrze jednak odbija od tła otoczenia swego; autor przekłada widocznie otwarty, bezczelny cynizm jego nad nikczemność innych, którą osłaniają oni szatą ofiarności, dodając tem do występków swych bluźnierstwo przeciw wielkiej idei. Zdaje się, że większość czytelników preferencyą tę autora podzieli i mniej wstrętu uczuje do jawnie cynicznego Karola, jak do fałszywie pobożnych, poetycznych i poświęcających się matki i siostry jego.

Nienawidząc zniewieściałości, próżniactwa, obłudy i głupoty, Jeź dostrzega je i wyraźnie po imieniu nazywa, wtedy nawet, gdy przywary te otoczone wykwintami czwilizacyi i estetyki, nabierają pewnych ponętnych i artystycznych pozorów. Akcesorya bogactwa, blasku i elegancyi, które oślepiają powieściopisarzy wielu na istotną wartość opromienionych niemi postaci ludzkich, nie wywierają na Jeża wpływu żadnego. Nie rozumie on poezyi miękkich sprzętów, zacienionych komnat i oświetlonych szat. Nielitościwą dłonią odrzuca on wszystko to na stronę niby łupinę zwierzchnią, lub blichtr zwodniczy i, obnażywszy człowieka z zapożyczanych blasków, bada co jest w nim samym. W równyż sposób obchodzi się on z tak zwaną świetną edukacyą i z tak zwanemi towarzyskimi zaletami. Największa biegłość w językach obcych, najświetniejsze talenty salonowe, najrzęczniejszy dowcip nie ratuje powieściowych postaci jego od srogiej analizy rozumu ich i sumienia. Co więcej, świetne edukacye bez istotnego wyrobienia rozumowego, zalety towarzyskie, którym nie towarzyszą poważne przymioty charakteru, nie tylko nie skłaniają go do poetyzowania zaopatrzonych w nie ludzi, lecz owszem, wzbudzają w nim wstręt podwójny. Przekłada on nieokrzesanego prostaka nad edukowanego głupca, poetyczniejsem znajduje pracowite życie w dymnej, brudnej chacie



niż próżniactwo, otoczone pięknościami zbytku, choćby nawet arcydziełami arcyzmu. I w tem właśnie spoczywa jedna z przyczyn pociągających go ku kreśleniu ze szczególnem zamilowaniem obrazów sielskich, ku idealizowaniu jednej z warstw społecznych—warstwy chłopów-rolników.

Spotykamy się tu z jednym, z najwybitniejszym a pewnie z najdrażliwszym punktem etycznej strony twórczości Jeża. Punkt ten drażliwym jest, gdyż najwyższa cześć wyznawana dla niepospolitego umysłu tego, nie może zaprzeczyć, iż tu właśnie spotkał on swój kamień obrazy i utracił zwykłą sobie przenikliwość i gruntowność sądów. W krytyce zarówno jak śród szerokiej publiczności głośnym i powszechnym jest wyrzut czyniony Jeżowi, za poniewieranie szlachtą a idealizowanie chłopów. Co do mnie, znajduję, że wyrzut ten w drugiej połowie swej słusznym jest zupełnie. W pierwszej — nie. Ktokolwiek wczyta się bacznie i pojętnie w dzieła autora, przekonany zostanie, że szlachta otrzymała od niego ocenę wszechstronną i słuszną. Dodać tu należy i szczególnie nawet nacisk położyć na to, że pisze on zazwyczaj o szlachcie, z przed 1863 roku, z epoki zatem pańszczyznianej, z naszą rozdzielonej wielu zmianami. Społeczeństwo szlacheckie z epoki owej Jeż przedstawia z wiernością i sprawiedliwością zupełną. Były w niem tu i owdzie brylanty pierwszej wody—są one tu i owdzie i w utworach Jeża. Były w niem zdolności świetne, marnowane i intencje najlepsze niespełniane—ukazują się one i w utworach Jeża. Była w nim większość ludzi zniewieściałych i w pychę wzbitych panowaniem z urodzenia — większość też taką przedstawia Jeż. Owszem, ile razy nasunie się mu pod pióro postać jaka tego prawie już dzisiaj do przeszłości należącego społeczeństwa, prawdziwie silna i wzniosła, maluje on ją i rzeźbi z upodobaniem szczególnie, z rzewną i głęboką czcią. Ktokolwiek chciałby poznać ideał szlachcica i szlacheckie życie w najdodatniejszych jego objawach, pozna je przyjrawszy się Chorążemu w Hist. pra-pra-wnuka, Lisowskiemu w Hist. pra-pra-dziada, Koreckiemu w Uroczej i temu prześlizczonemu dworowi szlacheckiemu w Ukraińskim futorze, który niby święty obraz tkwi w istnie złotych ramach powieści z *ciężkich dni*. Zdaniem mojem przeto, w żaden sposób niemożna przyznać słusznosci oskarżeniu, po wiele razy przeciw autorowi formułowanemu, o nienawiść względem jednej, całej klasy społecznej, i tendencyjne nią poniewieranie. Co innego, gdy mowa jest o idealizowaniu chłopów. Tu, istotnie, umysł ten tak jasny



zazwyczaj, tak oporny przesądom wszelkim, popadł, rzecz można, w bałwochwalcze zaślepienie, w przesąd kastowy, wzięty naodwrot. Nic piękniejszego zapewne jak sielski świat w obrazowaniu Jeża; lecz także i nic jednostronniejszego. Daremnie podróżując po świecie tym, czytelnik woła: Królestwo za grzesznika! ludzie tu są wszyscy niepokalani. Zdawałoby się, że dość jest nosić imię Hryhora, Wasyla, Jeryny lub Maryny, aby zostać pasowanym przez autora na świętego lub świętą. Świętymi tekimi zaludnione są Hryneńki w Hist. pra-pra-wnuka i pra-pra-dziada, Zachorniki, w Handzi Zachornickiej i wszystkie inne napotykalające się w powieściach autora siola bądź polskie, bądź w krajach południowej słowiańszczyzny leżące. Szlachcic polski i bośniacki włascielin, mają wady swe i przymioty, zasługi i winy, zwyczajnie jako ludzie na tym bożym świecie żyjący; ale kmieć, rolnik, na każdym punkcie kuli ziemskiej opromienionym być musi nimbem cnót patryarchalnych, rodzinnych i wszelkich innych. Niema tu pijaków, ani złodziejów, ani oszustów, złoźników i niedołęgów: są tylko siwobrodzi patryarchowie gmin pełni rozumu i powagi, przykładni ojcowie rodzin, poświęcone żony, matki, rzeźcy i piękni parobcy, piękne i kochające dziewczoje. Ludzie ci, cierpią, ale nie grzeszą. Pomiędzy tymi męczennikami niesprawiedliwych ustaw, niema ani jednej duszy, którąby przeniknęło zepsucie moralne, będące zazwyczaj następstwem zgwałconej sprawiedliwości. Prawda, że wielki talent autora, przedziwna umiejętność jego malowania przyrody i rzeźbienia postaci ludzkich, zrzuciły, iż ludowe obrazy jego nie posiadają w sobie nic a nic z kłiwiej sielankowości, lecz owszem, pełne są życia, barw i plastyki. Arkadye to są tak pełne uroku, tak mistrzowską dłońią dekorowane i zaludnione, że czytelnik cywilizowany uczuwa ochotę zdjąć z siebie perły i kitaje, zapomnieć liter alfabetu, pójść tam i tam żyć i umierać. Daremna jednak tęsknota i żądza! Nie kitaj, nie perły i alfabet rozdzielają czytelnika z tym rajem cnót i piękności. Raju tego niema na ziemi wcale i, po ochłonięciu z wrażeń zachwyty wywartych mistrzowstwem autorskiego pióra, czytelnik najsilniej choćby demokratycznym duchem ożywiony, przyjść musi do przekonania, że chłop zarówno jak szlachcic grzeszyć może i musi. Nikt rozsądny nie zaprzeczy pewno temu, że wśród dusz prostych, istnieją niekiedy dusze czyste i wielkie, że chłop pracowity i uczciwy, stokroć większą posiada wartość nad najwyższego dygnitarza społecznego z próżniaczemi dłońmi i zbrudzonem sumieniem. Lecz, pomijając ułom-



ną naturę ludzką właściwą tak chłopowi jak najwyższemu dygnitarzowi, czyliż w dziejowym kształtowaniu się warstwy tej społecznej nie było czynników poniżających i psujących, które koniecznie fatalnemi zastępstwy zaznaczyć się musiały w jej moralnym ustroju? Wszak czem dla klas uprzywilejowanych było panowanie z urodzenia tem dla klasy pokrzywdzonej była niewola. Niezasłużone zaszczyty i niezapracowane bogactwa nie większym dla godności człowieczej są kamieniem obrazy jak niezasłużone cierpienia i upokorzenia ustawiczne. Cywilizacya źle pojęta i stosowana nie więcej wyradza przywar i upadków ludzkich jak ciemnota. Tu i tam tedy, w dziejowym procesie rozwijania się klas ludności, tkwiły potężne czynniki zepsucia. Nie obroniły się czynnikiem tym klasy uprzywilejowane, obronić się nie mogła klasa skrzywdzona. W prawdzie, autor upatruje w prostocie i pracowitości życia chłopskiego, możne orężę odpierające zepsucie. Ależ i klasy uprzywilejowane posiadały też orężę swoje, chociaż z innych metali kute: dobrodziejstwa oświaty, nie unicestwianą upokorzeniami godność osobistą, tradycyjne uczucie honoru i obowiązku — a jednak, nie mogły niemi od złych wpływów obronić się całkowicie. Zresztą, prostota życia uszlachetnia człowieka wtedy tylko, gdy przenika ją wązki chociażby promyk oświaty, a praca wtedy tylko zbawczym być może żywiołem, gdy podejmowaną jest dobrowolnie i w celach o ile możności najwyżej pojętych. Chłopi zaś żyli wieki w ciemności absolutnej a pracowali z przymusu, z jedynym celem odżywiania się fizycznego i ochraniania się od chłost fizycznych. Czyliż tedy możliwym jest, aby całe, liczne grupy ludzi do klasy tej należące mogły istotnie zachować taką niepokalanosc a nawet wznioslosc uczuć, w jakie przystraja je autor? W cożby się obróciła w razie takim, cała filozofia dziejów? w cożby się obróciły wyniki najnowszej wiedzy naturalistycznej, wskazujące dziedziczenie z pokoleń na pokolenia cech nietylko fizycznych ale i moralnych, dziedziczenie odbywające się niewiadomo jeszcze jakimi sposobami, lecz odbywające się przecież tak wytrwale i niezłomnie, że sprowadza w organizmach istot zmiany zasadnicze?

Jak się to stać mogło, że autor historyzof, w wypadku tym odwrócił oczy od koniecznych wyników dziejowego procesu? jak się to stało, że znawca i gorący miłośnik wiedzy nowożytnej nawskroś rozminął się z dowiedzionymi prawdami naturalistycznych nauk? Przyczyny tego były liczne i możne. Pierwsze



po między nimi miejsce zajmuje duch czasu, w którym Jeź pisać zaczął: te wrażenia i żądze młodzieńcze, najsilniejsze, najtrwalsze z jakimi poraz pierwszy chwycił on za pióro. Duch ten czasu, jak widzieliśmy już, przeniknięty był tajemnemi, lecz silnemi pragnieniami zmienienia panującego porządku rzeczy przez wytrącenie przywileju z rąk jednych a uwolnienie rąk innych z łańcuchów niewoli. Wiały pragnienia te z ducha narodowego, skłonного zawsze do zapału, litości i wspaniałomyślnych porywów; z demokratycznych i socyalistych idei, których olbrzymie hasło zabrzmiało w wielkiej rewolucyi francuzkiej i brzmiało wzięź różnemi tony na Zachodzie Europy; z poczutej potrzeby wzmocnienia sił narodowych przez podniesienie do praw i godności obywatelskiej najliczniejszej klasy ludności krajowej; z romantycznego kierunku, nakoniec, który przyjęła poetyczna twórczość Zachodu i Polski, a który w Polsce szczególnie, w łonie ludu poszukiwać rozkazywał narodowych pieśni i podań, pierwszej tej złotej rudy romantycznej poezyi. W epoce tej, wszyscy pisali i śpiewali o ludzie. Byli tacy, i liczni, którzy zdjąwszy z siebie szaty cywilizacyi, mieszałi się z ludem, aby go nauczać, albo pieszo wędrując po kraju, pukali do chat i serc wieśniaczych w celu rozpatrzenia się w tem wszystkiem co chaty i serca te zawierały w sobie. Piękna to była epoka. Szanujmy wspomnienie jej jako zaszczytną pamiątkę naszej przeszłości. Miała ona jednak niebezpieczeństwa swe—tem większe, im serce w chwili owej uderzające ognisztem było, więcej skłonnem do bezgranicznych litości nad cierpieniami ludzkimi, do namiętnych oburzeń przeciw popełnianym niesprawiedliwościom i krzywdom. Serce takie, gdy jeszcze szło w parze z wyobraźnią ognistą i poetyczną, z łatwością mogło w epoce tej zaprowadzić posiadacza swego ku krańcowościom społecznych wyobrażeń, ku idealizowaniu warstwy społecznej, stojącej na piedestale męczeństwa i uznanej za skarbnicę narodowej poezyi. Takie serce i taką wyobraźnię posiadał Jeź. Rozkochany w sprawiedliwości, rozkochał się on w tych, którzy ofiarami byli ustaw niesprawiedliwych. Nienawidzący zniewieściałości, sybarytyzmu, próżniactwa, szatą idealną okrył tych, których ciała były zdrowe i krzepkie a życia proste i pracowite. Sprawiedliwie lecz srogo chłostał świat szlachecki za istniejące w nim przywary, a gdy chłostać już niechciał i uczył potrzebę otoczenia kogoś miłosnem ramieniem, zwracał się ku tym, którzy od przywar szlacheckich



wolnymi byli. Że mieli oni w zamian przywary inne, olśniony duchem czasu swego— nie wiedział...

Po tej przyczynie spoczywającej w czasie, następuje przy. czynna miejsca, w którym autor ujrzał sielskie raje swe i Arkadye. Miejszem tem jest Ukraina. Natura tam wcale inna niż w innych częściach kraju i lud wcale innych kolejach dziejowych kształtowany. O Ukraińskich stepach pisze autor, że wśród nich: „pod zarosłą chwastami mogiłą, spoczywa w wielkiej trumnie złotostrunna lira, co niegdyś grywała sama. I pozostał po niej podzwiek w powietrzu, i w ten podzwiek trafiają niektórzy, zbierając go z kwiatów jak pszczoły miód i rozkładając na głosy, jak kapelmistrze utwory muzyczne.“

Lutnią tą złotostrunną jest zapewne przeszłość ukraińskiego ludu, po której mknęły od czasu do czasu błyskawice wolności, sąsiedztwo jego z awanturnikiem, butnem Zaporozem i bijąciami o pobliskie brzegi „sinemi falami“ morza. Lirą tą są też stepy pełne na przemian poezyi i grozy, rajska cisza futurów, żyzność wdzięcznej gleby i to coś, co spoczywając w ustroju fizyologicznym i duchowym ukraińskiego chłopca, każe mu wydobywać z piersi owe śpiewy rozmarzone, tęskne lub hulaszczce, które duszę najbardziej ucywilizowanego człowieka nurzają w toni poezyi i melancholii. Lud taki, mieszkający wśród takiej przyrody, łatwiejszemi czynił złudzenia optyczne wszelkie, niż ludność wiejska innych okolic kraju. Autor, opierając się silnie urokiem akcesoryów wszędzie gdzie idzie o przedstawienie klasy bogatych i oświeconych, nie oślepiający się otoczeniem postaci ludzkich najartystyczniejszem chociażby, tu nie oparł się poetycznym wdziękowi Ukraińskiej natury i smętnej śpiewności ukraińskiego chłopca. Step i futury, sokoły i stare mogiły, skazki i pieśni, ujęły duszę jego w czar niezmożony. Z żywiołów tych wszystkich stworzył on raj i zaludnił go aniołami.

Powiedziałam wyżej, że przedstawiane przez Jeżę stosunki społeczne o ile dotyczą szlachty i chłopów odnoszą się do czasu z przed 1863-go roku; przyczynia się to w znacznej części do tego, że obrazy jego i postacie rażą niekiedy i obrażają. Z czasem tym rozdzielają nas zmiany ogromne nietylko w stosunkach lecz w wyobrażeniach i obyczajach zaszłe. Dziś, gdy zniknął przywilej i zniknęło poddaństwo, nie czujemy potrzeby litowania się nad ludem, który otrzymał od prawa wszystko co słusznie otrzymać mógł, a jeżeli jeszcze nie otrzymał czego, to z przyczyn całkiem już niezależnych od innych klas krajowej ludności. Dziś współ-



czucie nasze i trwoga zwracają się raczej w inną stronę... w stronę, na którą przeważała się waga cierpień, niebezpieczeństw i trudności wszelkich. Jeź wie zapewne o zaszłych zasadniczych zmianach, lecz wie o nich nie z naocznego im przypatrzenia się. Wrażenia przychodzące od przedmiotów oddalonych nie mogło zatrzeć wrażeń sprawionych widokami, na które patrzył, nad którymi przebolewał najsilniejszymi bólami młodego serca. Lecz—mamyż czynić mu wyrzut z tego co jest tylko jednym z naszych wspólnych nieszczęść? Owszem; podziwiamy raczej umysł — który pozbawionym będąc możności naocznego w danej chwili spostrzegania, w wielu jednak razach, jasno i głęboko chwilę tę przenika. Jeżeli bowiem lud wiejski obleczonej bywa u Jeża w szaty nie z samej tylko prawdy, a szczególnie nie z prawdy dzisiejszej tkane, wszystko co pisze on o klasach innych i dla klas innych, postępuje zgodnie z biegiem wiedzy i pojęć ogólnych.

Niepodobna zakończyć przeglądu pojęć moralnych rozwijanych piórem Jeża, bez wspomnienia o poglądach jego na jedną jeszcze warstwę ludności krajowej, mianowicie, na żydów i na jedną jeszcze ideę żywo świat dzisiejszy zajmującą, mianowicie, na ideę równouprawnienia kobiety w obec pracy i umysłowego światła.

Wbrew zwyczajowi nieszczęśliwie i długo panującemu, w piśmiennictwie naszym, traktowania ludności żydowskiej wzgardliwie, niechętnie, w najlepszym razie lekko bardzo, autor w powieściach swoich ile razy dotykał piórem ludności tej, czynił to z powagą i nawet sympatją. Powieściopisarstwo nasze nie zaglądało nigdy w głębie tej warstwy społecznej tak oryginalnej jednak, licznej i wpływowej, nie szukało rodowodów, przywar jej a nie przypuszczało nawet znalezienia w niej zalet jakichkolwiek. Nie przypuszczało też zapewne, aby wśród niej istnieć mogły dramaty jakież, któreby podawały wątki dla powieściowych twórców, ani spostrzegało idei tkwiących w tym dziwnym, tajemniczym, nieestetycznym pozorami okrytym świecie. W powieściach naszych, bez wyjątku prawie, żyd mógł mieć dwie tylko role: niegodziwego oszusta i pajaca przeznaczonego do rozśmieszenia publiczności. Otóż, Jeź narówni z innymi nie wniknął w warstwę tę wyłącznie i głęboko, nie poddał ją analizie ścisłej, nie szukał w niej powieściowych zawiązków ani idei. Ale też nie rzucał na nią ryczałtowego potępienia, z przedstawicieli



jej nie czynił samych czarnych plam atramentu ani karykatur mających w sobie jedną tylko rzecz ludzką: długie a koniecznie rude pejsy. Zdawałoby się, że bystrem spojrzeniem myśliciela, dojrzał on ważność ludności tej w ustroju rodzinnego społeczeństwa, a intuicyą artysty odgadł te rzewne, miękkie uczucia i te tragiczne losy, które wśród niej istnieją, pomimo brzydkich jej pozorów i licznych, istotnych przywar. W Historii pra-pra-wnuka, skreślił on prawdziwie rozrzewniający obraz starego karczmarza, który na widok szlachcica (Chorążego) znanego mu w młodości płacze łzami serdecznych wspomnień i wraz z rodziną całą odsiadauje dziewięciodniową żałobę po śmierci jednego z bohaterów krajowych.

Jedna z najwdzięczniejszych i najdramatyczniejszych postaci kobiecych Jeża (Uroczą) jest żydówką, a jednym z najpiękniejszych rysów Michała Koreckiego, zacnego obywatela kraju, jest obejście się jego z dwoma biednymi żydami, pełne wyrozumiałości i miłosierdzia. To przedstawienie żydów w świetle dodatkiem przypisywano niekiedy ogólnej skłonności Jeża do idealizowania demosu, po polsku: motłochu. Zdaniem mojem, był to bystry rzut oka patryoty i artysty. Brzmi w tem echo mądrych głosów Czackich i Butrymowiczów, tkwi tu zadatek przyszłej zgody i jedności.

(dok. nas.)



# O POWIEŚCIACH T. T. JEŻA

## Z RZUTEM OKA NA POWIEŚĆ WOGÓLE.

### STUDYUM.

(Dokończenie. Zob. zeszyt 97, 98 i 100.)

Co do sprawy kobiet, w poglądach na nią Jeża widać zwykłą mu miłość sprawiedliwości i żądanie, aby na wszystkich drogach ludzkich, rozum z uczuciem, wdzięk z siłą pogodzone zostały. Od ideału niewiasty wymaga on uczucia i wdzięk, ale idących w parze z rozumem i siłą moralną. Zdaniem jest jego, że wśród niezmiernie skomplikowanych objawów świata cywilizowanego, wśród trudnych obowiązków, które kobieta pełnić powinna, bądź w samoistnem bądź w rodzinnem a szczególniej macierzyńskiem życiu, istotna moralność i działalność życiowa kobiety, stałą podstawę swą znaleźć mogą tylko w pracy i myśli oświeconej wiedzy. Na zasadzie tej żąda on, aby kobieta nauczona była myślenia i pracowania na równi z mężczyzną. W postaciach jego kobiecych, z wyższych sfer towarzyskich branych, wartość moralna bywa zawsze ściśle uzależnioną od wartości umysłowej. Serce dobre, kochające i do poświęceń zdolne, ustrzedz nie może hrabiny Julii w Uroczej, od lichego zmarnowania uczuć swych i milionów na rzecz głupca i niedołągi, ani od wychowania syna na obrzydliwego zdechlaczka, jakim jest Fasio Zaziński. Kocha ona syna tego namiętnie, bez



granic, miłość ta macierzyńska daje jej nawet niebo szczęścia i zachwyty, i czyni ją isnotnie piękną i wzniosłą. Jednak Fasio wzrasta na Fasia, plagę rodziny swej i zakalę społeczeństwa. W ten sam sposób rozumieć należy Emmę w powieści *Dwór w Chrustowie*, kobietę tak rozegzaltowaną uczuciem pozbawionem wszelkiej równowagi rozumu i woli, że aż wpadają w szal nieprzytomny, wśród którego chce utopić kochaka a topi się sama. Postaci takich kobiecych, z naturą dobrą a często i piękną nawet, a przez niedostatki, zachodzące w charakterze i umyśle, brnących w łzach lub błocie i wpadających w przeróżne, chorobliwe zbroczenia fizyczne i moralne, w powieściach Jeża znajduje się wiele. Najwydatniejszym wedle mnie typem ich jest hrabianka Julia w *Emancypowanej*. Powieść „*Emancypowana*“ uważaną bywa za utwór niemoralny, dla tego, że zawiera w sobie pewne sceny i obrazy mogące istotnie zgorszyć duszę podlotków i niewiniątek. Nie dla podlotków i niewiniątek przecież pisał ją autor. Dla ludzi zaś dojrzałych i umiejących wynajdywać w powieściach filozoficzne ich sensy, *Emancypowana* przedstawia, zdaniem mojem, wyborne studyum kobiecego charakteru, trującego się własnymi siłami i przymiotami, których, ani rozwinąć należyte ani na dobre użyć nie umie. Wychowana w grubych przesądach, w ciemnocie rzeczywistej osłoniętej znajomością muzyki i języków obcych, hrabianka Julia i gdyby była istotą pospolitą, mogłaby przecież życie całe poprzestać na tem co posiadała i zostać spokojną, nawet po swojemu szczęśliwą. Ale w jej ustroju moralnym, istnieją energje i zdolności, które dopominają się o użytek. Zdejmuje ją wciąż tęsknota jakaś, gryzą pragnienia, których nikt i nic w otoczeniu jej zaspokoić nie chce i nie może. Kiedyś, gdy była małą jeszcze dziewczyną, w poetycznym spotkaniu przy świetle jutrzeńki, nad brzegami stawu obrośniętego trzcina, zamieniła się z nieznanym chłopcem jakimś pamiątkami spotkania tego: lilią i piórem zabitego ptaka.

— „Lilia symbol niewinności, pióro symbol lotu, rzekł do niej nieznaną przyjacieli; obyż w tobie, dziewczynko, połączyły się: niewinność i lotność!“ Dorósłszy, otoczona wszystkimi pieszczotami bogactwa i młodości, wspomina ciągle ową wdzięczną chwilę dzieciństwa swego; „dziecinność i lotność“ powtarza w myśli i czuje, że jakkolwiek nie popełnia śmiertelnego grzechu żadnego, istotnie niewinną nie jest i, że jakkolwiek tańczy z przedziwną lekkością, nie ma prawa nazwać siebie lotną. A je-



dnak — nosi wciąż na piersi piórko ptaszęcia — symbol lotności. Cały ten proces duszy dziecięcej a potem dziewiczej zakutej w kajdany niewiedomości i targającej się w nich, jest głęboko bardzo pomyślanym i przedstawionym z poezją i urokiem niepospolitym. Potem, wtrącona przez rodziców w małżeństwo niefortunne, haniebne nawet, które zrywa z popędliwością długo udręczonej duszy, Julia rzuca się w świat zabaw i hołdów światowych, a w krótkce uczuwszy nicość jego i nudę — zostaje emancypantką, kobietą noszącą odzież wpółmęzką, traktującą młodzież męzką po koleżeńsku i palącą jaknajgrubsze cygara. Pragnęła gwałtownie zejść z utartego szlaku, którego ciasnota dusiła ją; ale nie mając pojęcia o różnych drogach tej ziemi, zesłała na drogę pełną śmieszności, niebezpieczeństw moralnych i do niczego dobrego ani pięknego nie wiodącą. Odtąd stała się pustą i płochą swawolnicą, pozory miała takie, jak gdyby niczego już nie brakowało jej do zadowolenia zupełnego. Jednak, grała pewnego dnia jeden z utworów Szopena: „który nie jest czem innym jeno westchnieniem, na tony rozłożonem i w eterze płynącym.“... „Grała i grała, wsłuchiwała się w tony westchnienia tego, przylegała do nich niejako duszą i sercem, twarz jej oblała się jasnością natchnienia.... nagle, splotła dłonie, oparła je o klawiaturę i spuściła na nie czoło. W pozycyji tej zostawała długo... Górna część jej ciała drgała jakby pod wpływem lekkich konwulsyjnych napadów. Gdy zaś głowę podniosła, na oczach jej i policzkach widać było łez ślady wyraźne—plakała.“ Ostatecznie, niespokojnego i wiecznie udręczonego ducha tego uspakaja—cóż? nauka; lecz nauka nie sama tylko i nie sama w sobie, ale cele te ogólnie ludzkie i obywatelskie, które z pomocą jej Julia dostrzega.—Do tej samej kategorii postaci kobiecych zaliczyć należy Ewunię z Dworu w Chrustowie, tę prześliczną dziewczynę, będącą jedną z najpiękniejszych kreacyj kobiecych Jeża. Postać ta jest w powieściopisarstwie oryginalną zupełnie. Młoda ta i piękna dziewczyna, która tęskni do umysłowego światła i z ciemnicy swej wydziera się ku niemu tak zupełnie, jak zwyczaj w powieściach młode i piękne dziewczyny tęsknią za miłością i wydzierają się ku niej. Z tęsknot swych i cierpień Ewunia spowiada się przed człowiekiem, który zna: „inne światy“ w sposób następujący: „Pokutuje we mnie zapytań dużo, bardzo dużo, szukam na nie odpowiedzi i znaleźć nie mogę. W świecie naszym zapytań tych nawet nie podejrzewają a kiedy je stawiam, odpowiadają mi na nie najczęściej szyderstwem



Szyderstwo nie jest odpowiedzią zadowolniającą, pan to zapewne sam przyzna....“

Ktokolwiekby myślał, że kobiet tęskniących i cierpiących z przyczyn takich z jakich tęskniły i cierpiały Julia i Ewunia na świecie niema! Ktokolwiekby utrzymywał, że dramaty kobiecych istnień targających się boleśnie w kajdanach niewiedzy są wymysleniem autora, a nie odtwarzaniem zjawisk istotnych a ważnych, — ten myliłby się mocno. Żądza wiedzy jest jedną z najgłębszych właściwości natury ludzkiej, kobiecej zarówno jak męskiej, a wzmaga się ona w energiją tem więcej, im natura człowieka wyższą jest i bogatszą. W wieku naszym, który jest przedewszystkiem wiekiem myśli ścigającej na wszystkich punktach prawdę, i namiętnie jej pożądamącej, właściwość ta ludzkiej natury ze zdwojoną mocą odezwać się musiała i w piersiach kobiecych, owioniętych duchem wieku. Niezużytkowane zdolności umysłu gryzą ducha ludzkiego niemniej boleśnie i głęboko, jak niezadowolone uczucia serca. Zdławione i nie wyzyskiwane mszczą się nie tylko wykrzywianiem dróg ludzkich, ale i sprawianem cierpieniem. Ból idzie tu w parze ze szkodliwością, dramat pojedynczych losów zawiera w sobie ideę ogólną.

W tę stronę, jak we wszystkie prawie strony kędy powstają, i rozwiązania domagają się palące zagadnienia społeczne, Jeź rzucił spojrzenie bystre, przenikliwe i głębokie. „Podzielmy się z kobietą wszystkim,—pisze on, nie karmijmy ją resztkami, sami spożywając części najposilniejsze. Niech mężczyzna i kobieta idą razem, ręka w rękę (przez świat nauki i pracy) a wówczas będziemy mieli pełne prawo potępiać wybryki, i zupełną pewność, że przy ognisku naszym domowym, czuwa geniusz prawdziwy, tak świadomy powołania swego.... Są to dwa skrzydła, na których ludzkość ku przyszłości swojej żegluje, ku doskonałości podąża; potrzebaż dla nich jak dla skrzydeł równowagi....“

Takimi są przekonania i poglądy społeczne Jeż. Rzućmy teraz okiem na artystyczną stronę utworów autora.

### III.

Jeżeliby artystyczna wartość utworów powieściowych warunkowała się tylko wedle potęgi zawartych w nich sytuacji dramatycznych, barwności w malowaniu obrazów, plastyki w rzeźbieniu powieściowych figur, piękności i poetyczności stylu,



Jeż byłby artystą skończonym, takim któremu, niewielu powieściopisarzy świata dorównałyby mogło. Ale artyzm powieściowy posiada jeszcze warunki inne, mianowicie: ład, symetrią i stopniowanie w układzie powieści, harmonią dramatu z ideą, tak ścisłą, aby ta ostatnia wypowiadała się nie inaczej, tylko w dramacie i przez dramat, pewną powściągliwość słowa zapobiegającą daremnemu znużeniu uwagi czytelnika i rozstrzeliwaniu się wyobraźni jego na punkty nie mające bezpośredniej styczności z przedmiotem powieści.

Ostatnim tym warunkom artyzmu powieściowego, Jeż nie zawsze czyni zadość. Są dzieła jego takie, które zadawalniają i w tym względzie najsurowsze choćby wymagania krytyki, dla tego też posiadają wszelkie prawo do noszenia nazwy arcydzieł; lecz daremnie doskonałości tej szukaliśmy w większości skreślonych przez niego powieści społecznych.

Najsłabszym z przymiotów artystycznych Jeża jest ład i symetria w układzie powieści. Budowania jego bywają niekiedy dziwnie luźne, z częściami tak rozproszonemi i słabo pońiędy sobą spajanemi, iż całość sprawia niekiedy na czytelniku wrażenie labiryntu o krętych i błędnych drogach. Opowiadanie postępuje tu w skokach szczególnych, rzucających się w prawo i lewo, naprzód i w tył, epizody zachodzą jedne na drugie, przesłaniają się i osłabiają się wzajem. W taki sposób zbudowaną jest np. powieść *Ofiary*. U wstępu do powieści tej autor ukazuje nam postać jej główną a przynajmniej będącą główną jej osią, Kaspra Mędzińskiego, w chwili jego urodzin. Zaraz potem cofa się o lat kilkadziesiąt w tył, ażeby opowiedzieć historią osób, któremi ma go otoczyć; następnie ukazuje nam go już dorosłego, ażeby wnet wrócić do przejść i okoliczności jego dzieciństwa. Z punktu tego przeskakujemy znowu wraz z autorem dużych lat kilka, i spotykamy Kacpra ożenionego już i przerzuconego w całkiem inną pozycją niż ta, w którejśmy go pozostawili, lecz wnet wracamy, aby dowiedzieć się, w jaki sposób został on ożenionym i jakie koleje losu wytrąciły go z torów uprzednich. Toż samo dzieje się z osobami innymi. Odbiegają one nas w chwilach, w których najwyższy wzbudzają interes i wracają wtedy, gdyśmy już o nich zapomnieli prawie nie dla tego, żeby pamięci naszej godnemi nie były, ale że przesłoniły je sobą i rozdzieliły z nami osoby i zajęcia inne.

Oprócz tego, epizody te słabo spojone i źle zestawione, miewają często początki trudne, w których autor, przystąpienie



do przedmiotu opowiadania poprzedza rozmową z czytelnikiem o tem, co pisać będzie i o czem nie będzie, dla czego będzie i dla czego nie będzie, zwierza się z napotykanymi przeszkodami i odkrywa sposoby, jakimi je przełamał lub przełamać zamierza. Wszystko to nadaremnie zupełnie nuży uwagę czytelnika i odbiera jej część sił i rzeźwości dla należytego oddania się dalszemu i zawsze pięknemu ciągowi. Przytem powolne to i chropawe zbliżanie się do właściwego przedmiotu opowiadania sprawia wrażenie jakiejś trudności pióra, jakiejś, że się tak wyrażę, gruady, mogącej zniechęcić do jazdy dalszej tych, którzy nie wiedzą ku jakim ona czarownym najczęściej miejscom prowadzi. Prawda, że mocą potężnych darów twórczych wywołane, z gruady tej wyrastają niekiedy obrazy przedziwnej poezji i piękności. Tak np. zdarzyło się w Uroczej. W powieści tej, autor szuka po świecie bohatera dla niej, opisuje trudności, które w znalezieniu go napotyka, wyrzeka na trudności te i t. d. Trwa to długo, tak długo, że czytelnik uczuwa niepomiarłą ochotę przeczucia kilku kartek, aby od razu znaleźć tę, wśród której autor dosięgnie nakoniec celu swego. Ktokolwiekby przecież z czytelników uczynił zadość ochocie tej, poniósłby stratę nie małą. Bo oto najniespodziewanej, fantazyja autora opuszcza trzęską gruadę, po której czas jakiś kroczyła z trudnością i lotem szerokim puszcza się w zaczarowaną podróż po ukraińskim stepie. Tu napotyka naprzód mogiłę zarosłą chwastami, pod którą w wielkiej trumnie spoczywa lira złotostrunna, potem wzrok wznosi ku gwiazdom znaczącym drogi wędrowcom niemego stepu, od gwiazd zlatuje pod stopy samotnego krzyża, na którego spróchniałem ramieniu siedzi sokół, co ze stepowemi bojanami chętnie rozmawia, rozkochanym dziewczętom słowa pieśni podpowiada, lirnikom liry stroić pomaga, a od krzyża z sokółem pędzi drogą stepową ku karczmi, która: „stoi sama jak palec, bez zagrody, bez obejścia, bez przyzby, obdarta, obłocona, istna wygnanka.“ Step podmałowuje karczmkę tłem coraz innem. Kiedy w rozległych jak morze płaszczynach, tętni wesołe życie natury, wygląda ona jak *memento mori*, gdy wśród nich cicho, smutno i martwo, przybiera postać portu obiecującego ratunek. Gwiazdy, mogiły, krzyże i karczmi—to posterunki stepu wystawione przeciw obłędowi.

W ogólności, sposób w jaki Jeż rozpoczyna pojedyncze epizody swych powieści, przywodzi przed wyobraźnię ptaka próbującego skrzydeł. Próbuje on ich długo, wstrząsa je bezsilnie,



zda się i z monotonnym, nużącym szelestem, aż nakoniec uderza niemi z mocą nagłą i potężną, rozwija je szeroko i wzbija się w lot podśloneczny.

Powyższy przegląd pojęć i przekonań umysłowych Jeża dał nam poznać w nim myśliciela, wśród powieściopisarzy pierwszorzędnego. Tu, dodać należy, że nietylko posiada on pojęcia i poglądy filozoficzne szerokie i różnostronne, lecz ma dla nich miłość tak gorącą i do rozwijania ich przed ludźmi czuje pociąg tak możny, że przygłuszają w nim one niekiedy wielkie jego artystyczne uzdolnienia. Objawia się to przez niejednokrotnie spotykaną w powieściach jego przewagę idei nad dramatem, przez topienie niejako dramatu w idei. Idea, nie zawsze występuje u Jeża pod postacią powieściowych postaci i rozgrywającej się pomiędzy nimi akcji, ale objawia się w długich rozprawach, pełnych zawsze prawdy i werwy, rozumnych i pięknych same w sobie, lecz zwalnających bieg akcji, osłabiających zajęcie i wrażenie obudzane przez dramat. Cecha ta, którąby można nazwać cechą apostołską powieści, właściwą bywa najczęściej piórom młodym, nieobeznanym dostatecznie z techniczną stroną sztuki a unoszonym zapalem apostołskim, nie znajdującym jeszcze równowagi w umiejętności wybierania najstosowniejszych dla siebie środków. Jeż zachował cechę tę aż do czasów ostatnich. Zdawałoby się, że wielka miłość dla prawdy zaślepią go na znaczenie piękna i na te potężne pomoce, których piękno użycza rozprzestrzenianiu się prawdy. Tak jednak nie jest. Wysoce syntetyczny umysł ten nie mógł wpaść i nie wpadł w podobny błąd etyczny. W jednej z powieści swych określa on tak stosunek prawdy do piękna: „Piękno i dobro to bracia Syamscy, zrosnięci jeden z drugim; idą zawsze razem, podnosząc i doskonaląc ludzkość.... Ty więc, którego dusza jest źródłem piękna, posiadasz w tej duszy władzę nad wszystkim.“ To tedy rozmijanie się z pięknem w powieści, przypisać należy pewnie nieumyślnemu lekceważeniu go lecz przyrodzonym skłonnościom umysłowym, które wagę umysłu przechylają nie ku pięknu lecz ku prawdzie. Skłonności te są tak silne, a wyrodzona przez nie miłość dla prawdy tak jest ognistą i wiecznie czynną, że autor zostaje pod wpływem ciągłej niejako trwogi czy w dziele swem dość dla prawdy uczynił i nieustannej żądzy uczy-nienia dla niej jaknajwięcej. Skłania go to do umieszczania nacisków na wygłaszane przez się idee, nacisków gorliwych, troskliwych o wzmacnianie tego, co często niepotrzebowało już wzmoc-



nienia. Ztąd powstaje to co w powieści nosi miano — powtarzania się i rozwlekłości. Pod tym względem, spolszczając wyrażenie francuzkie, powiedzieć można, że Jeź ma wadę przymiotu swego. Rozumne poznawanie i gorące ukochanie prawdy jest przymiotem jego drogocennym, wznoszącym go wysoko po nad tłum pisarzy zdolnych, nawet częstokroć lecz dla różnych przyczyn ciasno patrzących i blaho piszących. Ale niemożność oparcia się pociągom miłości dla prawdy z uchybieniem choćby warunkom piękna, poczytywać można za wadę przymiotu tego.

Uchybienia te przynoszą utworom Jeża szkodę nie małą i różnostronną. Psują mu one przesłiczne nieraz pomysły i wielkie prace mniej doniosłemi czynią. *Ofiary* np. są utworem poważnym, zajmującym i pełnym piękności, ale gdyby nie wadliwa budowa artystyczna byłyby powieścią wyborną. *Hercog Słowiański*, oczyszczony z powtarzań się i nacisków częstych a długich, czynionych na ustępy pewne, z czterech tomów zredukowany do dwu, byłby po prostu arcydziełem. Nic wspanialszego jak znajdujące się w powieści tej obrazowanie dworów panujących w wieku XV i wszystkiego co na nich się działo; nic piękniejszego i poetyczniejszego jak opis Paterenów, sekty, po przez męczeństwo i wyrzeczenie się wszelkich dóbr ziemskich, szerzącej wśród zepsutego świata ideę braterstwa i sprawiedliwości,— nic prawdziwszego jak obraz stosunków słowiańskich w czasach owych i ogólnego, wiejącego z kart książki, ducha ówczesnej Europy. Na opisy i obrazowania takie zdobyć się mógł tylko uczony i genialny powieściopisarz. Jednak, przy czytaniu powieści tej, czytelnikowi znającemu prawidła sztuki przychodzić muszą myśli różne o przebudowywaniu i wykreślaniu.... Arcydziełem, powieści tej, zawierającej w sobie przecież skarby prawdy i piękności, nazwać on nie może.

W tem też szukać należy przyczyny, dla której powieści Jeża, pomimo powszechnego szacunku wyznawanego dla talentu autora, nie znajdują wśród publiczności odgłosu takiego i poczytności takiej, na jakie zasługują, jakich pragnąć musi dla nich każdy pragnący rozprzestrzenienia się w społeczeństwie pojęć szlachetnych i rozumnych, i energicznej, wzniosłej poezyi.

Tak poezyi. Jeź bowiem jest dramaturgiem i poetą, o ile tylko powieściopisarz jakikolwiek dramaturgiem i poetą być może. Widzieliśmy już, że ogromna większość sytuacji wybieranych przez niego bądź dla historycznych, bądź dla społecznych powieści, mieści w sobie dramaty potężne, zawierające



w sobie kolizye silnych namiętności, tragiczność losów, szerokie obszary zjawisk. Daje to utworom jego pewną istic dramatyčzną i do głębi poruszającą moc kolorytu i wyrazu, a także tła szerokie, o perspektywach głębokich, zaludnianych tłumem postaci. Jak zaś rzeźbione są postacie te, przekonać się o tem mogliśmy już w części oglądając chorążego, Porońskiego, Zofię, Szandora, Memlanera, Cygana itd.

Podobnie wypukłych i wykończonych postaci z pod pióra Jeża wyszedł tłum prawdziwy i będący wiernym obrazem świata, bo pełno w nim rozmaitości nietylko powierzchownych, ale zasadniczych, urabianych najgłębszemi właściwościami ducha ludzkiego i wpływami otoczenia. Znajdujemy tu: bohaterów i męczenników spraw wielkich, wyrzeźbionych z powagą i wspaniałością zarysów właściwą upostaciowaniu bohaterstwa i męczeństwa (Miłosz Widulicz — *Uskoki*, Łuka, — *Szandor Kowacz*, Żarko i Peter Potereni — *Hercog Słowiański*, Lisowski — *Hist. pra-pra-Dziada* itd.); młodych rycerzy miecza lub idei pełnych męstwa i zapału, Jerzy Miłoszewicz — *Uskoki*, Jan Jeż — *Hist. pra-prawnuka*, Władysław Chranicz — *Hercog Słowiański*, Prokop Łoboda — *Z ciężkich dni*, Jerzy Korecki, *Urocz* itd.); starców pełnych cnót i mądrości, (Chorąży — *Hist. pra-pra-wnuka*, Jakób — *Handzia Zachornicka*, itd.); niedołęgów z naturą dobrą, lecz słabą, (Albin — *Hist. pra-pra-wnuka*, Bonawentura — *Urocz*, Gajewski — *Handzia Zachornicka*); łotrów i rozpustników wyuzdanych i cynicznych — Stefan i Fasio — *Urocz*, Karol — *Ofiary*), i mnóstwo innych pomniejszego znaczenia biedaków, oszustów i głupców takich, jak kawaler Bertuczi w Uskokach, aż do idyotów (Gamajdowie w Ofiarach,) i sentymentalnych trubadurów (Włoch harfiarz w *Hist. pra-pra-dziada*). W ludności kobiecej powieści Jeża, rozmaitość taż sama, poczynając od żon poświęconych i bohaterskich jak Luba i Anuncyata w Uskokach, Gruta w Hercogu Słowiańskim, Maryna w *Handzi Zachornickiej*, do żon *strasznych*, istnych turyj i harpij żeńskiego rodu, jakeimi są Sędzina w *Handzi Zachornickiej*, Podkomorzyna w *Ofiarach* itp.; — od łzawych marzycielek, jak hrabina Julia w *Uroczej*, do silnych i wzniosłych apostołek idei, jak Maryca w *Zarnicy*; od dziewic rozteśknionych za ideałem wysokich celów życia, jak Ewunia w *Dworze w Chrustowie*, do istot świeżych niby jutrzeńka i gorących niby letnie słońce w otwartem polu, jak dwie Jerynki w *Hist. pra-pra-dziada* i *pra-pra-wnuka* i żydówka *Urocz*. Wszystkie te tak rozmaite, z tak różnych światów brane postacie, rozwijają się przed oczami na-



szemi szeregiem istot nieledwie dotykalnych. Widzimy wyraźnie każdy ruch ich ciała i każdy rys oblicza, każdą iskrę oka i każde drgnienie nerwów; słyszymy nieledwie dźwięki ich głosów. Myślę, że bez zuchwalstwa w sądzeniu powiedzieć można, iż w plastyce powieściowych figur, nie wielu powieściopisarzy świata dorównywuje Jeżowi — nie przewyższa go nikt.

Co do stylu, gdy mowa jest o Jeżu, francuzkie przysłowie „le style c'est l'homme,“ prawdziwem się staje. Język i styl jakimi pisze Jeż, posiadają tyle indywidualnych, całkiem od innych pisarzy odrębnych cech i właściwości, że koniecznie mówić nam muszą wiele o człowieku, który je na użytek i obraz swój wytworzył. Jeżeli rodzaje stylów podzielić można na męzki i kobiecy, styl Jeża jest idealnie męzkim. Oszczędny w wyrazy a jednak bogaty w wyrażenia malujące rzeczy dobitnie i energicznie, styl to poety-rycerza, który umie wzbic się ku najwyższemu szczytom piękna, lecz któremu wstrętnemi są wszelkie drobne piękności i ozdóbki. Daremnie szukalibyśmy tu okresów wygładzonych i wypolerowanych tak, jakby urobiły je hebel i politura stolarska, i tych pieścot słowa, postługujących się zdrobniałą formą rzeczowników i mnogością dodawanych im określników, które dla tego tylko zdrobniałemi nie są, że przymiotniki w formie zdrobniałej używać się nie dają. Okres Jeża bywa najczęściej krótki, z najmniejszą możebnie ilością zdań ubocznych i wtrąconych, niekiedy harmonijny na kształt pełnego akordu muzycznego, niekiedy szorstki i z umysłu jakby wygładzenia i zaokrąglenia pozbawiony. Gwiazdki, kwiatki, motylki, badyłki, strumyczki i obłoczki są mu zupełnie obce; nie spotykają się też w niem określniki letnie, bladawe, niewyraźne, będące zazwyczaj właściwością stylów sentymentalno-idealnych. Wolny od ckliwych pieścot i sentymentalnych mglistości, styl Jeża nie grzeszy też tą częstokroć u autorów spotykaną fałszywą siłą słowa, polegającą na rozdymaniu małego przedmiotu za pomocą wielkich wyrazów, co sprawia szczególną niezgodę myśli ze sposobem jej wyrażenia i nasuwa wyobraźni obraz ogromnej góry rodzącej malutką mysz. Słowo Jeża bywa zawsze do przedmiotu, który określa, w stosunku właściwym; nie usiłuje go ono ani zmniejszyć, ani sztucznie rozduć, ani spieścić, ani zolbrzymić. Ztąd, dwa przymioty stylu tego nieocenione: siła i prostota. Jeż posiada w najwyższym stopniu siłę i prostotę stylu, a oprócz tego pewne, sobie tylko właściwe sposoby wyrażania się i budowania okresów, które nie pozwalają zastoso-



wać do stylu jego żadnej z nazw utartych: gładkości, potoczności, kwiecistości itd. Pozwoliłabym sobie, sposobem propozycji, nazwać styl Jeża: rycerskim. Jest tu bowiem rycerska potęga i prostota; są tu dźwięki niby, starcia się rycerskich oręży i niby śpiewy piersi opancerzonych, pełnych zapалу, a nie dbałych nieco i hulaszczych, i jeżeli smutnych, to smutkiem bez łez i lamentów.

Wysokie te przymioty stylu oddają autorowi usługi nieocenione; pozwalają mu one niekiedy w kilku wyrazach zawrzeć całe morze uczuć ludzkich, odmalować cały sposób myślenia człowieka. Powiedzeń takich krótkich a mieszczących w sobie treść ogromną, w powieściach Jeża jest pełno. W Hercogu Słowiańskim, Gruta, żona sekciarza Paterenina i matka dwóch małych synów, patrząc w płomień domowego ogniska, w zamyśleniu mówi do siebie. „Jak te drebka!“ I nic więcej. Ale czytelnik wie już co dzieje się w głowie i sercu tej biednej matki i żony, która myśli o tem, że mąż jej i synowie, tak jak drebka ognisko domowe rozpalą kiedyś sobą płomień męczeństwa. W powieści *Z ciężkich dni*, gdy Józef Łączyński nalega na córkę, aby pojęła małżonka, którego on dla niej przeznaczą, Kryścia pewna, że ukochany jej już nie żyje, mówi: — Jąm Łobodę kochała.

— I myślisz, żebym ja na to pozwolił? woła ojciec.

Dziewczyną odpowiada.

— Już ja nie myślę nic, ojczec... Serce wdowie Chrystusowi zaręczę.

Niepodobnaby na dziesięciu stronnicach odmalować lepiej cichej rozpacz, jak w kilku tych słowach: już ja nie myślę nic...

Kiedy w powieści *Urocz* wykwinna hrabianka Róża znajduje córce żyda karczmarza, że kocha tego samego człowieka, który i przez nią jest kochanym, Urocz pod wpływem istotnego natchnienia woła.

— Czy pani wiesz co to znaczy kochać? kochać takiego człowieka jak Jerzy Korecki? Ja długo myślałam o żaglu rozpiętym, co niesie okręt po wodnej toni... Czy wiesz pani dla czego żagiel niesie okręt? Dla tego, że się w nim kocha wiatr... Taki człowiek jak p. Jeży jest żaglem, a ta co go kocha musi być wiatrem...

Peter Paterenin na zapytanie żony: dla czego zamknął ją wraz z dziećmi w odludnej pustelni, odpowiada: „Szumem wiatrów i krzykiem orłów nie przemawia czart.“



A w *Zarnicy* autor w następujący sposób przedstawia budzenie się do wolności i życia narodu długo uszpienego niewolą: „Przecierając oczy ze snu, bełkoce wyrazy dla niego niezrozumiałe, wywołując od czasu do czasu: Gdzie jestem? co to znaczy? Wszak to dzień jeszcze! O! jakżebym jeszcze pospał trochę!

Wyciąga się i ziewa.“

Oddając autorowi przysługi ogromne, niektóre właściwości stylu jego prowadzą go ku krańcowościom pewnym i wtedy przeradzają się w wadę. Mam tu na myśli trywialność i grubość, w które wpadać może i u Jeża wpada czasem, źle strzeżona prostota. W stylu Jeża, oprócz poety-rycerza znać jeszcze człowieka, który najuroczystszymi ślubami, ślubował surwości nietylko obyczaju i myśli, ale nawet słowa. Owóż, surowość ta słowa prowadzi go niekiedy tak daleko, że aż do całkowitego rozmijania się ze smakiem estetycznym. Ma to miejsce zawsze, ilekroć bohaterowie powieści jego wyrzucają z ust swych grad przekleństw, łajniań i grubiaństw obrażających nietylko już estetycznie wykształcone, ale trochę choćby przyzwoite uszy. Żaden wywołany tem komizm, żadne pojęcia o realistycznych zadaniach powieści, rzeczy tych istnie brzydkich i ku niczemu zresztą nie dążących usprawiedliwić nie mogą. Przyznać jednak należy, iż rozmijanie się takie z dobrym smakiem i to wpadanie w krańcowość prostoty będącą grubiaństwem, napotykać się dają tylko w pomniejszych utworach Jeża, przedstawiających niejako zdawkową monetę jego działalności. (Opowiadanie *Stasia, Siostrzane dusze, Wrzeciono*). Dzieła jego z zakrojem rozległym i poważnym wolne są od przywary tej, którą poczytać można także za wadę jednego z przymiotów autora.

Przymioty te przecież, nigdzie może z większą siłą i wyraźnością nie występują, jak w stronie powieści Jeża opisowej, w malowanych przez niego obrazach, ze zjawisk natury lub postaci ludzkich złożonych. Opisy Jeża nie są opisami, lecz obrazami. Ktokolwiek posiada u siebie powieści Jeża, posiada też do codziennego użytku swego prawdziwą i bardzo urozmaiconą galerią obrazów. Są tu obrazy tak rozległe i wspaniałe, jak bitwa Zamoyskiego z Michajwodą, nad Teluzyną stoczona w *Hist. pra-pra-dziada* i tak posępnie groźne, jak ta druga bitwa madziarów z austryakami, wśród której Szandor Kowacz z Maryjką przepływają Ciszę, lub jak ta, w *Uskokach*, matka bośniaczka, siedząca z dzieckiem swem w rozpadlinach skalnych i po przez



rozpromienione słońcem powietrze, wpatrująca się we wzniesione nad tłum ludzi siwe włosy męża, konającego na palu. Tu, dwoje uciekających kochanków kołysze się w małej łódce nad gładką tonią morza: „Morze czerwonym zajaśniało odbłaskiem... To jutrzienka niby w zwierciadle w opalowych przeglądała się toniach i zapowiadała wschód słońca. Porankowy, chłodnawy wietrzyk rozciągał nad morzem i marszczył fale. Białe mewy przelatywały spoglądając z góry na podróżnych. Na horyzoncie tu i owdzie widzieć się dawały wierzchołki masztów... Łódź mknęła. Na powierzchni ogromu morza wydawała się białą plamką, skrzydłem motyla do góry wzniesionem, które wiatr pędził nad wodą... Mknęła. Fale pluskały, piana w bryzgach rozbijała się o boki, echowy śpiew morza napelniał powietrze poważną melodyą... Słońce zeszło i łódź skąpała się w promieniach.“ (Uskoki). Tam znowu, chłopię chowane dziko w karczemce stepowej, wśród nędzy i udręceń życia swego, brata się z otaczającą go naturą dziwnie pierwotnem a zarazem rzewnem, głębokiem uczuciem. Wpatruje się w świat roślin, ptaków, owadów, okiem sieroty bezwiednie szukającego po świecie czegoś, na czem spocząłoby mogło samotne jego serce:

„Rozmaitość sukienek w jakie natura je ubrała, tęczowe barwy ich skrzydełek zachwycaly biednego chłopca, a szum i brzęczenie odbijały się w jego uchu muzyką, do której z wiosną przyłączały się odgłosy bijących przepiórek, odzywających się chrapliwie derkaczów i śpiewających skowronków. Wszystko to zlewało się w jeden wspaniały chór, brzmiący hymnem na stepie. Przy tym hymnie, który wieczorem potężniał, zachodziło słońce i niebo obsypywało się gwiazdami, a księżyc wybiegał pomiędzy obłoki, które na turkusowem tle szeroko rozrzuconego niebieskiego sklepienia związały się i rozwijały w tysiące fantastycznych kształtów; kłębiły się niby dymy, znów układały się w fale, innym razem marszczyły się jak runo białych owiec, najczęściej olbrzymiały jak góry. Tu, hymn brzmiał chłopcu w uszach, w górze niebo grało światłami, cieniami, kształtami, dokoła powietrze dyszało wonią. W takich chwilach Semen wsłuchany, wpatrzony... czuł się niby płynącym środkiem światła, w otoczeniu całego swego roślinnego rodzeństwa i wszystkich swoich pełzających i latających przyjaciół. Hymny, blaski, barwy, wonie przenikały jego duszę i zabierały ją ze sobą. Zwykle latem, na stepie usypiał i budził się obmyty porankową rosą...“ (Urocz). Ówdzie jeszcze rozkochana dziewczyna w że-



braczej odzieży, szuka po polu bitwy zasłanym trupami, rannego czy zabitego kochanka i z rycerskiego hełmu, wlewa wodę w usta rannych wojowników, (Hist. pra-pra-dziada); a gdzieindziej małe dziewczę wiejskie biegnie za bryczką uwożącą ukochanego panicza: „Podkasała ona wyżej kolan podtoczkę i zczerwieniona, zdyszana, pomykała przodem, szczerząc do Jasia szeregi perłowych ząbków... W kołowrocie (woźnica) ściągnął konie, lecz nie zatrzymał się, bo znalazł go otwartym. Otworzyła go dziewczynka, która biegła obok bryczki... Prześcignęła ona konie (idące zwolna) i sama jedna dobiegła do kołowrota... otworzyła wrota, wlała na nie i, trzymając się poprzecznicy, wychyliła się naprzód, a spoglądając ku Jasiowi z rozlanym na czarnych oczkach i na całej czerwonej twarzą uśmiechem, zdawało się jakby mówiła: — A widzisz! ja pożegnałam cię ostatnia!“ W Hercogu Słowiańskim, Gruta Patarkenka: „wyszła w spodnicy jednej i w koszuli pod szyją spiętą. Włosy, w grube splecione warkocze, około głowy okręciła i zarzuciła na nie ręcznik biały, frendlami na ramiona jej spadający. Rękawy od koszuli powyżej łokci zatoczyła. W takim ubraniu na skraju łąki, niby w ziemię weszła i w takim, po jakimś czasie, w tem samym miejscu pokazała się... Wychodziła powoli z pośrodku wierzchołków sosen, wysuwała się niejako do góry z dzbanem na głowie, słuszną, prostą, wspaniałą. Wysunął się naprzód dzban, za dzbanem głowa białą płachtą przykryta, za głową ramiona osłonięte frendlami, dalej biust bogato rozwinięty, za biustem kibić od niechcenia przepasana, a w końcu niewiasta cała, zapłoniona nieco zmęczeniem... Jedną ręką dzban przytrzymywała, drugą miała na biodrze wspartą. Wyszła i stanęła chwilę na skraju łąki, ponad sosnami, które, zdawało się, umyślnie spadek góry okrywały, — ażeby jej za olbrzymi służyć piedestał.“

Oto są nieliczne próbki sposobów malowania Jeża i mistrzowskiej doskonałości, jakiej dosięga w niem pióro jego, zmieniające się w pędzel. Wyznaję, iż z pewnem wysileniem wyrzecz się muszę dłuższego oprowadzania czytelnika po galerii tej obwieszonej z bogactwem niezmiernem płótnami różnych rozmiarów i rodzajów, lecz od których wieje zawsze wielka miłość dla natury, niemniejsze jej znawstwo i poezya energiczna, barwna, ognista najczęściej, niekiedy pełna wdzięku, rzewności i ciszy.

Oprócz wszystkich, już wymienionych, utwory Jeża posia-



dają jeszcze stronę jedną, której milczeniem pominąć nie można. Pomimo całej powagi przewodniczących mu zwykle idei, pomimo wysokiego najczęściej nastroju działających w powieściach jego osób i poetyczności przedstawianych obrazów, Jeź nie lubuje się w pisaniu dzieł takich, które podobnemi są do twarzy bez uśmiechu, ckliwo połyskujących oliwą wiecznego namaszczenia. Umie on być wesołym. Uśmiechy różnego rodzaju, a często i głośne wesołe śmiechy wiją się w utworach jego wśród westchnień bólu, szczęku walk i krzyków rozpaczy, nie głuszac ich, lecz owszem potęgując sprawiane niemi wrażenie. W Szandorze Kowaczu, półkownikówny niemieckie romansują z oficerami austriackimi w sposób niewypowiedzianie komiczny. Takim samym komizmem swobodnym i wolnym od przymieszki wszelkiej odznaczają się w *Uroczej* rozmowy światowej damy, prowadzone z wiejskimi, zadomowionemi sąsiadkami. Rubaszny, trywialnością tu i owdzie zepsuty, lecz do serdecznej wesołości pobudzający humor, tkwi w postaci kapitana w opowiadaniu Stasia, w opisach szlachty wiejskiej, w Hist. praprawnuka i w wielu innych szczerze wesołych ustępach najpoważniejszych nawet powieści Jeża. Lecz dowcip i humor jego zawierają też nieraz ten subtelny i gorzki sarkazm, który wraz z chęcią do śmiechu obudza w czytelniku wiele uczuć nie mających nic wspólnego ze śmiechem, a jednak tu, towarzyszących mu koniecznie. Któż, uśmiechając się, nie zaduma się zarazem głęboko i smutnie przy widoku kawalera Bertuzi'ego, z *Uskoków*, tego politycznego szalbierza, któremu podobnych każdy nieszczęśliwy naród posiadać i złowrogo znać musi? Któż nie uczuje rzewnej, z tkliwością zmieszanej litości nad wesołem jednak i tak rażnem, ulicznym chłopięciem z powieści *Szewckie dziecko*, tym wybornym typem polskiego Gawrosza? Któż nie zamyśli się o jednej z najwydatniejszych ran społecznych, patrząc na książąt Gamajdów w powieści *Ofiary* i śmiejąc się z nich tak, jak publiczność teatralna śmiać się zwykła z Jowialskiego, tej arcytypowej postaci sławnego komedyopisarza? Ci Gamajdowie są to postacie, mimo idyotyzmu swego, tak żywo przed czytelnikiem stojące, że koniecznie prawdę istotną wyrażać sobą muszą. I wyrażają — bo prawdą jest, iż długowiekowe pograżanie się rodu jakiegoś w zastoju moralnym i umysłowym, w próżniactwie rąk i głów, połączonem z bezmyślnym formalizmem, ściiera z rodu tego odznaczające go zrazu najwyższe choćby zalety i wiedzie go do zagaśnięcia pó przez długi łańcuch stopniowych upadań na wszechstronnych siłach,



łańcuch, którego ogniwem ostatniem jest zniedołężnienie ciała i ducha, zwane idyotyzmem. Takie to znaczenie filozoficzne sławny krytyk krakowski dojrzał i dojrzał słusznie w Jowialskim Fredry, takie same posiadają też i księżęta Gamajdowie Jeża; co do komizmu zaś, tryskającego z postaci tych, nawskroś przejętych idea poważną i smutną, nie zdaje mi się, aby: „spodziewam się“... Gamajdów, mniej zabawnem być miało od: „Posłuchajcie“! Jowialskiego. Lecz w tej samej powieści (Ofiary) istnieje korespondencya matki z córką (Podkomorzyny z księżną Ludwiką Gamajdziną) będące, zdaniem mojem, najsubtelniejszą z karetek, które Jeż zakreslił ironicznymi uśmiechami. Kiedy księżna Ludwika po śmierci małżonka-idyoty, pozostaje bez dachu nad głową i kawałka chleba, matka jej, zrujnowana doszczętnie egoistka i obłudnica, namawia ją listownie do zaślubienia wzbogaczonego i świeżo owdowiałego ex-lokaja. Jeden z ustępów jej listu brzmi jak następuje: „Il y a o ma fille chérie, un sacrifice à faire, le plus grand, le plus éclatant, le plus sublime... Princessel épouse Kacper—épouse—le! La Providence qui arrange les choses d'ici-bas te montre la voie. Elle a écarté la grosse, afin que tu puisses, en marchant sur les traces de Celle qui nous sert d'exemple suprême, le rendre digne d'Elle, en accomplissant un sacrifice suprême“. (Jest tu, o córka moja droga, ofiara do spełnienia, ofiara wielka, wzniosła i świetna! Księżno! zaślub Kaspra! zaślub go! Opatrzność, kierująca sprawami ziemskimi, wskazuje Ci drogę. Usunęła ona grubą, (żonę Kaspra) dla tego, ażebyś mogła naśladować tę, która jst dla nas przykładem najwyższym i stać się Jej godną przez dopełnienie najwyższej ofiary).

A potem:

„Księżno mojal... Poniżasz się dla tego, ażeby się wywyższyć. Drogą ofiary wracasz, jeśli nie do posiadania, to do używania fortuny ojców swoich. Zdziwiałe są drogi, któremi Najwyższy sprawy świata tego prowadzi“...

Córka odpowiada:

„Stało się. Ofiara spełniona. Indywiduum wychodzi właśnie odemnie, przekonane, że dostaje w osobie mojej małżonkę, będącą doskonałością ukończoną i par conséquent zachwycone, tak zachwycone, że musiałam mu powiedzieć, żeby sobie szło precz... Wyraźne Opatrzności zrządzenie. Śmiać mi się jednak chce. O ile bowiem rozumiem całą szczytną podniosłość ofiary... o tyle z drugiej strony czuję to, co, wyobrażam sobie, czuć musi angielski pick-pocket po dokonaniu arcydzieła w zawodzie swo-



im... J'ai joué mon rôle en perfection, rôle bien difficile, croyez m'en, d'une sacrifice demandant un sacrifice"....

Z kartek tych wieje nie już najzwyczajniejszy Jeżowi humor swobodny i rubaszny, ale dowcip subtelny, kolący, umiejący przedstawić świętoszkostwo i posunięte do cynizmu uwielbienie samych siebie w całej, rzec można, naiwnej ich powadze i budząc śmiech, obudzać zarazem wstręt i oburzenie dla mniemanych ofiar tych, a litość dla tych, którzy stają się istotnemi ich ofiarami.

Powyższy przegląd najwydatniejszych cech pisarskiej działalności Jeża, daje nam miarę talentu tego, znaczenia, które posiada on w piśmiennictwie naszym i zasług, które zdobył u społeczeństwa swego. Talent to energiczny i bogaty. Do zupełności przymiotów, wynoszących talent na stopień geniuszu, brak mu harmonii, harmonii, zasadzającej się na równowadze wszystkich, a różnych władz twórczych, a tu nazbyt przechylającej się ku stronie surowej myśli i surowego słowa, ze szkodą estetycznego piękna. Szkodliwa ta przewaga, nadwerężająca harmonią władz twórczych, spotyka się przecież nie we wszystkich dziełach Jeża.

Jeż stworzył kilka dzieł takich, jak Uskoki, Szandor Kowacz, Z ciężkich dni, które, niby brylanty pierwszej wody i wielkości, nie posiadają żadnej skazy, ni plamy, nosić mogą wspinały tytuł arcydzieł u nas, a nosiłyby go z pewnością i wśród szerokiego świata, gdyby powszechna w Europie nieznanomość języka naszego nie czyniła ich niedostępnymi ludom obcym. Oprócz tych dzieł istotnie pomnikowych, z pod pióra autora wyszła ilość znaczna utworów poważnych i pięknych, jakkolwiek niedoskonałych i nikt, myśląc umiejący, nie zaprzeczy z pewnością, że powieści takie, jak *Historia prapradziada i praprawnuka*, *Ofiary*, *Uroczą*, *Hercog Słowiański*, *Zarnica*, *Szewskie dziecko*, *Dwór w Chrustowie* i t. d., mimo, że arcydziełami nie są, przejście swe przez społeczeństwo zaznaczyć musiały dobroczynnemi śladami na wyobrażeniach i wyobraźni, obyczajach i pragnieniach ogółu.

Powiedzmy jeszcze, że energicznym i bogatym będąc, talent ten jest jeszcze nawskroś prawym i szlachetnym. Dzieło życiowe Jeża daje o charakterze moralnym twórcy swego dobre świadectwo. Oprócz powagi i wielkiego wykształcenia umysłu, czuć w niem jeszcze serce zdolne do ukochań płomiennych i tej żelaz-



nej uczuciom swym wierności, której nie zastraszy trwoga żadna, nie złamie oddalenie, nie nadweręży czas; czuć w niem wolę wytrwałą i pomimo okoliczności życiowych tak trudnych, że łamiących tysiące, umiejącą pracowicie zdążać ku swym celom. Czuć w nim jeszcze odwagę obywatelską, gotową w imię uznanej przez się prawdy stawić czoło najsilniejszym choćby prądom publicznej opinii, najsroźszej choćby dla pisarza każdego groźbie oziębienia ku sobie sympatyj spółbraci. Na tym ostatnim przymiocie Jeża, jako niezmiernie cennym, a nie często pomiędzy pisarzami spotykanym, położyć wypada nacisk szczególny. Jeż posiada w najwyższym stopniu odwagę swych przekonań. Głosił on je i głosi zawsze, bez oglądania się na kastowe lub koteryjne niechęci czy oskarżenia, które wywołać przez to może; w dziełach jego daremnieby szukać kompromisów owych, które, godząc białe z czarnem i gorące z zimnem, zmierzają jedynie ku pogodzeniu sumienia pisarza z jego interesem. Możnaaby rzec, iż dla pisarskiej swej działalności, Jeż przyjął sobie za stałą i niezłomną dewizę owe zalecenie starożytniej mądrości greckiej, nakazujące, aby obywatel kraju mówił ojczyźnie swej „nie te rzeczy, które są dla niej przyjemne, ale te, które jej użytecznymi być mogą“.

W przedmowie do zbiorowego wydania dzieł swych, niedawno napisanej, Jeż, z sokratesową prostotą słowa skreślił swój portret moralny: „W utworach moich, pisał, znajdują się usterki i błędy, lecz pióra mego nie maczałem w atramencie innym, tylko w przyprawionym przez siebie samego; nie pochlebiałem nikomu, nie dworaczyłem niczemu, nie stawałem w przedpokojach niczyich; staję więc przed publicznością śmiało i ze spokojnem sumieniem wyczekiwać będę na wyrok, jaki wyda, bacząc nie tylko na powieści same, wszystkie razem, ale i intencją, jaka tworzeniu się onych przewodniczyła“.

Wątpić nie można, iż nie tylko dziś, ale i w późniejszej przyszłości, w przyszłości nawet pewniej jeszcze, niż dziś, wyrok ten, na który oczekuje autor, będzie takim, jakie zazwyczaj wydają ludy istotnie godne życia na mistrzów swych i pracowników;—że wyrok ten nie będzie czem innym, tylko wdzięcznością ogółu za szlachetny trud całego życia, i miłością, oddaną za miłość.

*Eliza Orzeszko.*



F

7585















F

7585